

**JENNIFER GREENE**

# **Oczarowany**



***Harlequin*®**

Toronto • Nowy Jork • Londyn  
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg • Istambuł  
Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia • Sydney  
Sztokholm • Tajpej • Tokio • Warszawa

## PROLOG

Jock usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodu i pośpiesznie wyrzął przez okno. Nareszcie! Oto pojawił się pierwszy z braci Connor, Zach. Przyjrzał mu się uważnie. Przybysz stał przy dziwnym czarnym samochodzie o rozmiarach paczki herbatników. Trudno zrozumieć, jak mężczyzna o długich nogach mógł się w nim zmieścić. A ten miał naprawdę długie nogi - był nieprzeciętnie wysoki, o szerokich ramionach, tyle że taki chudy... Mógł mieć najwyżej ze trzydzieści lat. Jego włosy były długie, kruczoczarne i kręjące się, tak jak i broda. Jock doskonale zdawał sobie sprawę, ile czasu potrzeba, by wyhodować solidną brodę - sam miał podobną - ale zarost przybysza był zaniedbany, a twarz chorobliwie blada.

Mężczyzna spojrział w górę. Rzecz jasna, nie mógł nic zobaczyć w oknie, ale Jock widział go doskonale. Nawet z wysokości dwóch pięter dostrzegł kolor jego oczu - intensywny błękit, zamglony przez wyczerpanie. Błękit, który palił, jakby w duszy przybysza była wielka rana.

A więc to tak. Jock wyprostował się, marszcząc brwi, a jego ręka bezwiednie spoczęła na inkrustowanej klejnotami rękojeści szpady. Nie ma wątpliwości, że ten chłopak jest w kiepskim stanie. Gdyby to był rok pański 1723, zaraz wzięłby go na morze

i porządnie napił rumem. W rześkim, słonym powietrzu nie byłoby trudno postawić go na nogi. Niestety, taka możliwość nie wchodziła w grę, ale Jock nie dawał łatwo za wygraną. Znajdzie sposób, żeby mu pomóc. Ruch na świeżym powietrzu bez wątpienia zlikwiduje te bladeści. Chłopak był dobrze zbudowany, spod zarostu prześwitywały regularne, wyraźne rysy i chyba nie było kobiety, która nie zwróciłaby uwagi na te oczy. Trudno powiedzieć, czy byłby dobry jako kochanek, ale teraz to nie jest najważniejsze. Kiedy przyjdzie pora, można go będzie wspomóc radą i wskazówkami.

Jock odwrócił się od okna, myśląc gorączkowo. Najpilniejszą sprawą jest, rzecz jasna, wybranie odpowiedniej kobiety. Nie powinna być dziewicą. Zresztą i tak to prawie niemożliwe znaleźć dziewicę pod koniec dwudziestego wieku. I przede wszystkim, nieważne w którym stuleciu, z dziewicą nie ma nawet połowy tej przyjemności, co z dziewczyną, która wie, co się robi w łóżku. Nie, ten Zach potrzebuje kobiety z doświadczeniem. Kobiety energicznej, może nawet trochę impertynenckiej. Najlepiej, żeby była dobrze zbudowana, taka przy kości.

Jock nie lubił chudych kobiet, a jako że miał szczerzy zamiar przyglądać się akcji - większości akcji - uznał, że dobrze będzie znaleźć kandydatkę odpowiadającą jego osobistym upodobaniom. Zatarł ręce, czując już podniecenie na samą myśl o tym. Do diabła, było tak, jakby znowu żył.

Ten młody człowiek wyglądał jak ktoś, komu wyrwano duszę, ale Jock nie zrażał się drobnymi przeszkodami. Jego zadaniem było zmienić życie chłopaka i żadna ziemaska przeszkoda go nie powstrzyma. Zrobi wszystko, co należy.

Patrzył z satysfakcją, jak przybysz zbiera swoje manatki i zmierza w stronę wejścia po pokrytej śniegiem trawie. Jeszcze tylko parę kroków i od chwili kiedy Zach przekroczy próg, będzie należał już do niego.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zachary Connor wysiadł ze swojego niskiego, czarnego lotusa i słone powietrze podrażniło jego oczy. Listopad w stanie Maine zaskakiwał kogoś przybywającego z Los Angeles. Zacinający znad Atlantyku wiatr był zimniejszy od odłamków lodu i zawodził jak lamentujący duch.

Drżąc z zimna, Zach rozejrzał się wokoło. Dom stał na szczycie pokrytego śniegiem wzgórza. Z tyłu teren opadał aż do kamienistej plaży. W oddali widać było białą latarnie morską, nieczynną i opuszczoną. Fale uderzały, rozpryskując się na mokrych skałach. Wzdłuż poszarpanej linii brzegu tu i ówdzie pojawiały się dachy zabudowań. Najwyraźniej sąsiedztwo było liczne, ale na szczęście dość odległe. To, co zobaczył, uspokoiło go. Obecnie marzył tylko o tym, żeby go zostawiono samego. Całkowicie samego.

Pochylił się, żeby wyjąć z samochodu klawiaturę, futerał z saksofonem i plecak, ale trudno mu było oderwać wzrok od domu. Ten budynek miał chyba ze dwieście lat. Kiedyś musiał być piękny, a właściwie wciąż był. Wyrastał w górę na trzy kondygnacje, zaś ostatnie piętro otoczone było galerijką. Białe ramy okienne i ciemnozielone okiennice wyglądały na niedawno malowane. Na pierwszym piętrze był balkon, z którego rozciągał się widok na wzburzony ocean. Od wschodniej strony sterczała ośmiokątna wieżyczka

z wysokimi, wąskimi oknami. W całym domu było ciemno, nie było widać znaku życia.

Nagle Zach zaniepokoił się. Wydawało mu się przez moment, że zobaczył jakiś ruch w którymś z okien na samej górze, ale to musiało być tylko złudzenie. Znow się uspokoił - bez wątpienia nie było tu nikogo, czuło się jakąś atmosferę opuszczenia, jakby nikt tu nie mieszkał od lat. I dlatego ten dom, podobnie jak okolica, doskonale mu odpowiadał.

Odszukał klucz w tylnej kieszeni džinsów, zebrał swoje rzeczy i ruszył do wejścia. Przekręcił duży mosiężny klucz i pchnął ciężkie, dębowe drzwi, które otworzyły się z odgłosem przypominającym efekty dźwiękowe w filmach o Frankensteinie. W środku powitała go cisza i drobinki kurzu wirujące w smudze światła wpadającej przez drzwi do przedpokoju wielkości zamkowej komnaty. Szerokie, mahoniowe - jak przypuszczał - schody prowadziły na górę.

Zajrzał do pierwszego pokoju z prawej strony. Okazało się, że jest to staroświecki salonik - fotele, kanapa z końskiego włosia, wystrzępiony perski dywan, lampa z abażurem obszytym frędzlami. W pokoju panowało miłe ciepło. Ktoś włączył ogrzewanie i ułożył równy stos porąbanego drewna przy wielkim, kamiennym kominku. Zach powiedział sobie, że nie ma w tym nic dziwnego, bracia mówili mu przecież, że domem ktoś się opiekuje. Wszystko to było wyszczególnione w testamencie dziadka, tyle że jego to wcale nie obchodziło.

Nie mógł sobie wyobrazić dziadka mieszkającego tutaj. Dwaj pozostali bracia również byli tym zaskoczeni. Nikt nie spodziewał się, że po jego śmierci odziedziczą tę posiadłość. Nie mieli w stanie Maine żadnej rodziny. Seth i Michael podejrzewali, że dzia-

dek trzymał tu jakąś kobietę. To by pasowało do tego starego rozpustnika. Bracia byli zafascynowani tajemnicą - on nie. Jego to nie obchodziło. W tej chwili czuł jedynie wdzięczność, że może się schronić w miejscu, o którym nikt nie wie i gdzie nikt go nie będzie niepokoił.

Odłożył bagaże i nie zdejmując skórzanej kurtki, podszedł do kominka. Pochylił się, włożył do paleniska kilka grubszych polan i mniejszych gałązek, a potem podpalił je. Głodne płomienie zaczęły lizać drewno i po chwili wszystko zajęło się z szumem, a powietrze wypełnił zapach cedru i sosny.

Zach zgarbił się przy ogniu i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w płomienie. Wiedział, że nie może tak siedzieć, miał przecież wiele rzeczy do zrobienia. Pierwszą czynnością powinno być obejrzenie domu. Ten pokój był umeblowany, ale to nie znaczyło, że na pewno znajdzie się tu jakieś łóżko do spania. Największym problemem było jedzenie. Po drodze nie spotkał żadnego otwartego sklepu - co nie powinno dziwić w Święto Dziękczynienia - ale jakoś musi znaleźć sposób, żeby zaopatrzyć się w najniezbędniejsze rzeczy. Nie jadł nic od poprzedniego wieczoru, nie pamiętał już, kiedy ostatni raz przespał całą noc. Powinien być głodny, ale nie był. Powinno zależeć mu na znalezieniu łóżka, ale tak nie było. Już od miesięcy nic nie miało dla niego znaczenia.

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon. Wzdrygnął się, słysząc ten drażniący dźwięk, ale nie ruszył się z miejsca. Powinien był się domyślić, że bracia postarali się, żeby telefon na pewno był podłączony. A teraz dzwonił i dzwonił, aż w końcu, na szczęście, ucichł. Oni nie mogą wiedzieć, że już przyjechał. Zadzwoni potem, ale nie wcześniej, niż będzie w stanie wydobyć z siebie

pogodny, serdeczny głos. Braci niełatwo oszukać. Na pogrzebie Michael był wyraźnie wstrząśnięty jego wyglądem, zaś Seth, który nigdy nie przebierał w słowach, powiedział mu bez ogródek, żeby przestał zaharowywać się na śmierć. Nakłonili go do przyjazdu tutaj i sprawdzenia, jak przedstawia się ten nieoczekiwany spadek po dziadku. Widział, że martwią się o niego i sądzą, że zbyt ciężko pracuje. Pewni byli, że wróci do siebie po miesiącu odpoczynku nad morzem.

Nie miał zamiaru się sprzeczać z braćmi. Nie powiedział im jedynie, że opuścił zespół i wcale nie był przepracowany. W ogóle nie pracował, nie był w stanie. Czuł się tak, jakby muzyka od niego odeszła. Gdyby bracia wiedzieli, w jak głęboką popadł depresję, znaleźliby się przy nim szybciej niż mrówki w konfiturach na pikniku i nie ma mowy, żeby zostawili go tutaj samego. Nie chciał, żeby się o niego martwili, bo i tak nie byli w stanie mu pomóc. Nikt tego nie potrafił.

Oczy piekły go od wpatrywania się w ogień, ale bał się je zamknąć. Za każdym razem, kiedy je zamykał, widział twarz dziecka. Niemowlęcia. Niewinną, różową buzię niemowlęcia z błękitnymi oczami, takimi jak jego. W głębokiej ciszy nocy, każdej nocy, słyszał jego płacz. To dziecko żyło, ale on nie wiedział, gdzie go szukać. Nie wiedział, czy jest głodne, czy może chore, czy czegoś potrzebuje, czy jest przy nim ktoś, kto je kocha. I nigdy tego się nie dowie.

Targnęło nim poczucie winy, dobrze znane i ostre jak brzytwa. Nic nie przynosiło ukojenia. Zresztą nie próbował odsunąć od siebie tego bólu, gdyż myślał, cierpko i z goryczą, że na niego zasłużył. Na tego rodzaju ranę nie ma lekarstwa i zresztą nie powinno być. Ogarniające go uczucie pustki pożerało go i niszczyło. Nie potrafił pracować, niepotrafił myśleć, nie



potrafił nawet odpoczywać. Miał dopiero trzydzieści lat, ale czuł się jak co najmniej stuletni starzec. Nigdy nie sądził, że człowiek może być tak zmęczony. Wyczerpany do cna. Tak wyczerpany, że już zupełnie nic go nie obchodziło. Przed oczami tańczyły mu pomarańczowe płomyki. Zaczął wyobrażać sobie umieranie...

Nagle z oddali dobiegło stukanie do drzwi. Zach zamrugał powiekami, zmarszczył brwi z irytacji, ale nie ruszył się z miejsca. Seth był w Atlancie, Michael w Detroit, a tu w Maine nikt go nie znał. To mógł być tylko ktoś obcy i w końcu będzie musiał odejść.

Stukanie ustało. Już miał westchnąć z ulgą, kiedy znów rozległo się walenie - nieprzerwane, natrętne - tym razem do drzwi frontowych. Zacisnął zęby i również postanowił je zignorować. I wtedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Powiew zimnego powietrza wtargnął do środka, przeleciał przez hol, aż płomień ognia przygasły i zasyczały.

- Halo, panie Connor. Jest pan tam?

Damski głos brzmiał przerażająco wesoło. Zach przetarł ręką oczy. Nie odpowiadał - wciąż miał nadzieję, że nieproszony gość nie znajdzie go i odejdzie. Ale przeliczył się, los nie miał zamiaru być dla niego łaskawy. W drzwiach pojawiła się nie jedna, a dwie istoty płci żeńskiej.

Pierwsza miała szopę czarnych, kędzierzawych włosów, rozciągniętą pomarańczową czapkę, błękitne oczy i zadarty nos, czerwony od zimnego wiatru. Dziecko. Dziewczynka. Wszystkie mięśnie w jego ciele napięły się jak struny. Przez ostatnie miesiące nie był w stanie patrzeć na dzieci - żadne dzieci, a już zwłaszcza takie z czarnymi włosami i błękitnymi oczami jak jego własne - nie odczuwając przy tym przeszywającego bólu.

- Pan Connor?

Przeniósł spojrzenie na stojącą obok kobietę. Nie miał innego wyjścia, niż jej odpowiedzieć.

- Tak, nazywam się Connor.

Kobieta potknęła się nagle. O mało nie upadła, ale w dalszym ciągu zamierzała wejść do środka z szerokim uśmiechem powitalnym na twarzy. Na policzku miała siniak, tak jaskrawy jak cienie do powiek ulicznych panienek. W pierwszej chwili Zach myślał, że ktoś ją pobił, ale zrozumiał, że jest w błędzie, kiedy uderzyła się łydką o nogę krzesła. Albo miała wadę wzroku i powinna nosić okulary, albo była kompletną niezdara.

Pomyślał, że dla człowieka, który rozpaczliwie pragnie spokoju, ciszy i samotności, ta uśmiechnięta, pełna życia kobieta jest jak najmniej odpowiednim towarzystwem. Oceniał, że może mieć co najwyżej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ale nie można było nie zauważyć jej w tłumie. Miała na sobie jaskraworóżową kurtkę narciarską, a granatowo-różowa włóczkowa czapka nie mogła pomieścić krótkich, bujnych włosów rdzawobrazowego koloru. Pod rozpiętą kurtką widać było szczupłą figurę w rozciągniętym żółtym swetrze i dzinsach. Mówiąc szczerze, Zachowi zawsze podobały się szczupłe kobiety, ale w tej chwili nie był w stanie zainteresować się żadną z nich i ostatnią rzeczą w świecie, jakiej teraz pragnął, było damskie towarzystwo. Zwłaszcza towarzystwo kobiety, której śmiech szarpał jego nerwy jak ostre dźwięki rozstrojonego fortepianu. Na dodatek zaczęła mówić i najwyraźniej nie miała zamiaru przestać.

- Mój Boże! Pan pewnie dopiero co przyjechał, nawet nie zdążył pan zdjąć płaszcza. Bardzo prze-

praszam. Jestem Kirstin Grams, a to moja córka Amelia, a właściwie Anne-Mellie. Zajmowałam s tym domem przez ostatni rok i, szczerze mówiąc, zaczynałam już się zastanawiać, czy ktokolwiek tu przyjedzie. Czy ten stary dom nie jest wspaniały? Tak się cieszę, że pan już jest. Dzwonił do mnie Seth Connor, to chyba pana brat, prawda? No i kiedy usłyszałam, że pan ma dzisiaj przyjechać, zaczęłam się obawiać, że nie będzie pan mógł zrobić zakupów ze względu na święto. Szykujemy w domu przyjęcie z okazji Święta Dziękczynienia i serdecznie zapraszam, jeżeli tylko będzie pan miał ochotę przyjść. Chciałam też zapytać, co pan chciałby, żebym tutaj zrobiła. Chodzi mi o to, że tak naprawdę nic nie jest przygotowane, bo nie miałam pojęcia, co będzie panu odpowiadało, zanim spotkamy się...

- Wystarczy.

Szerokie usta nagle zamilkły. Najwyraźniej ta kobieta potrafiła mówić jak nakręcona, bez potrzeby przerywania dla zaczerpnięcia tchu. On natomiast musiał złapać oddech, w głowie mu dudniło, jakby jechał przez nią pociąg towarowy. Pomyślał, że najłatwiej byłoby pozbyć się natrętki, zachowując się grubiańsko, ale nie mógł tego zrobić w obecności dziecka, patrzącego na niego okrągłymi błękitnymi oczami. Właściwie powinien być zadowolony, że ta pani Grams najwyraźniej go nie rozpoznała. W końcu w ciągu kilku lat istnienia zespołu nazbierało się trochę hitów i plakaty z jego twarzą pojawiały się na murach tak często, że już nie zwracał na nie uwagi.

Ale jeśli nie wie, kim on jest, musi być szalona, żeby zapraszać go na obiad. Zach zdawał sobie sprawę ze swojego wyglądu. Długie włosy i kolczyk w uchu były obowiązkowe w środowisku muzyków - jak na przy-

kład garnitury w prążki na Wall Street. Ale tu, w dodatku z gęstą brodą i w starej, zniszczonej kurtce skórzanej musiał sprawić wrażenie włóczęgi, narkomana albo zbiegłego więźnia. A ona bez wahania zaprasza go na obiad do siebie do domu.

- Bardzo dziękuję za propozycję, ale to niepotrzebne. Niczego mi nie potrzeba - powtórzył stanowczo.

- Czy na pewno? My naprawdę mamy wszystkiego w bród, a pan chyba jechał cały dzień i musi pan być zmęczony. Mam pomysł! Kiedy indyk już będzie gotowy, przywiozę panu jedzenie. Mieszkamy tylko parę kilometrów stąd, więc to nic takiego...

Dobry Boże, znów gada jak nakręcona. Zach zaczął podnosić się, celowo robiąc to powoli. Ostatnio stracił sporo na wadze, ale i tak sądził, że onieśmieli ją fakt, że jest tyle od niej wyższy. Nie mogła przecież nie zauważyć tego. Jednak ona tylko zadarła głowę, kiedy zbliżył się do niej.

- Robię niezłą szarlotkę, na pewno będzie panu smakowała. A do indyka woli pan nadzienie z rodzynkami czy bez? Mój ojciec uwielbia rodzynki, ale Mellicie ich nie znosi, więc zawsze robię trochę tego i trochę tego...

Tego już było za wiele. Musiał się wtrącić.

- Dziękuję pani. Nie mam ochoty na obiad. Nie mam ochoty na nic. Bardzo pani dziękuję za przybycie.

To miała być niedwuznaczna odprawa, ale ta kobieta nie rozumiała, o co mu chodzi.

- A więc kiedy przyjadę z jedzeniem, chciałabym, żeby pan mi powiedział, co tu ma być zrobione. Nikt tu przedtem nie mieszkał. Nie znałam też właściciela tego domu, wynajął mnie adwokat Harvey Bennett i chciał jedynie, żebym doglądała tego miejsca. Żeby ktoś regularnie tu przychodził, żeby trawnik był skoszony

a śnieg odgarnięty i żeby odnosiło się wrażenie, że ktoś tu mieszka. Wie pan, co dzieje się z domem, kiedy stoi pusty? Zajmuję się kilkoma letnimi domami, tu w okolicy Bar Harbor...

Nie było sposobu, żeby jej przerwać. Na szczęście mała pociągnęła matkę za rękę i w końcu Kirstin zaczęła wycofywać się z pokoju. Poczuli się jak zły wilk, który, jak na ironię, ma za zadanie przepędzić dwie owieczki w bezpieczne miejsce. Nie chciał pokazywać zębów, ale na Boga, głowa pękała już mu z bólu. Co musi zrobić, żeby ona wreszcie sobie poszła?

- ...i teraz, kiedy pan będzie tutaj, może woli pan, żebym przestała zajmować się tym domem, ale chyba widział pan, jakie to wszystko zakurzone. Pewnie od lat nikt tu nie sprzątał i nie czyścił. Jeżeli chce pan, żeby mu pomóc, to mogłabym przychodzić we wtorki i piątki po południu. Oczywiście, jeśli pan woli robić to sam...

Nigdy w życiu nie spotkał równie gadatliwej kobiety i jeżeli los będzie mu przychylny, już więcej jej nie zobaczy. Ale jej ostatnia uwaga przedarła się przez mur irytacji. Osobiście nic go nie obchodziło, czy cały ten dom zmurszeje, ale była to również własność jego braci i przecież on przyjechał tu właśnie po to, żeby doprowadzić go do porządku, a potem w trójkę zdecydować, co dalej z nim robić.

- Wtorki i piątki, tak? - Pytanie wyrwało mu się, zanim zdążył ugryźć się w język. Przecież wcale nie chciał, żeby ktokolwiek mu się tu kręcił, a zwłaszcza ta kobieta, która w ciągu paru chwil potrafi doprowadzić go do szału. Ale z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że potrzebuje kogoś do pomocy, a tę babę przynajmniej już znał. Myśl o tym, żeby dawać ogłoszenie, a potem rozmawiać ze zgłaszającymi się

obcymi kobietami była nie do zniesienia. A w końcu czy to takie trudne poukrywać się trochę przez dwa popołudnia w tygodniu? - Nie wiem. Muszę jeszcze o tym pomyśleć.

- W porządku. Cokolwiek pan postanowi, ja się zgadzam, tylko proszę dać mi znać. A teraz chyba już musimy wracać do dziadka, prawda, Mellie? Było mi bardzo miło pana poznać.

Wyciągnęła do niego rękę, zachichotała, zdjęła włochatą różową rękawiczkę i wyciągnęła ją ponownie. Ujął jej dłoń. Była ciepła i delikatna jak ręka dziecka. Ich wzrok spotkał się na chwilę. Był tak blisko niej, że widział piegi na nosie, łuki jasnych brwi, delikatną cerę. Gdy na chwilę przestała ruszać się i mówić, zdał sobie sprawę z tego, że jest całkiem ładna. Nie oszałamiająca, nie olśniewająca, ale naprawdę ładna w naturalny sposób. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spotkał kobietę, która nie malowała się ani nie perfumowała. Jej cera była jasna i bez skazy, a oczy miały czysty, ciemnoniebieski kolor. Niestety, było w nich coś... coś miłego, uprzejmego, jakiegoś ciepła. Dreszcz niepokoju przebiegł mu po plecach. O wiele łatwiej było znieść pierwsze wrażenie, że ma do czynienia z niemądrą przekupą, niż...

Wcale nie chciał być w pobliżu jakiegokolwiek miłej kobiety i nie potrzebował żadnej cholernej uprzejmości. Ani od niej, ani od nikogo. Ucisnął jej dłoń i wypuścił szybko, jakby to był rozżarzony węgiel. Otworzył drzwi wejściowe i do środka wpadł podmuch lodowatego, świszczącego wiatru.

- Wróć z jedzeniem - obiecała z uśmiechem.

- Nie. - Choć powtórzył to drugi raz i tak nie był pewien, czy go słyszała, bo wraz z dziewczynką już

schodziły z werandy i gramoliły się do zardzewiałej ze starości, pomarańczowej półciężarówki.

Kopnięciem zatrzasnął drzwi, oparł się o nie i zamknął oczy. Ta cała wizyta trwała zaledwie kwadrans, a czuł się jak zbity pies. Gdyby została minutę dłużej, to chyba musiałyby coś jej zrobić albo zranić jej uczucia, a potem czułby się jeszcze większym draniem niż teraz, ale do cholery, chciał tylko, żeby go zostawiono w spokoju. Odosobnienie, cisza, samotność, czy naprawdę wymagał od życia za wiele?

- Święci Pańscy, ale narobiłeś pieprzonego bigosu.

Oczy same otworzyły mu się ze zdumienia. Słyszał głos - męski, zachrypnięty baryton - dobiegający jakby znikąd.

- Chyba powinienem się przedstawić. Na imię mam Jock. Nazwiska nigdy nie miałem i wcale mi go nie brakowało, a zresztą to nie ma nic wspólnego z twoją sprawą. Ale wracając do tej panienki...

Zach przesunął ręką po włosach. To było humorystyczne, idiotyczne i kuriozalne, ale... ten głos brzmiał naprawdę.

- Ona jest troszeczkę za koścista. Ale musiałeś zauważyć, że pod tymi spodniami ma okragłą pupkę. Skóra delikatna jak obłok. A te oczy! Ona pali się do ciebie, chłopcze. Wierz mi, znam się na tych rzeczach. Raz tylko na ciebie spojrzała i już w głowie jej były przytulanki. Chyba nie jesteś ślepy? Ale byłeś bardzo niegrzeczny, bardzo - prawie wykopałeś ją za drzwi. Na Boga, jeśli nie zmienisz swojej postawy, to moje zadanie stanie się niemożliwe do wykonania. Jestem tobą bardzo rozczarowany.

Zach okręcił się dokoła. Nie było nikogo, nawet cienia, żadnego odgłosu kroków, śladu niczyjej obecności. W odległym końcu holu zobaczył wysokie lustro

w ozdobnej ramie, pokryte patyną starości, i wydało mu się, że mignęła w nim przez chwilę postać mężczyzny z długimi, ciemnymi włosami, ubranego w strój pirata i wysokie buty, z brzuchem wystającym nad paskiem oraz szpadą, która zwisała nisko przy udzie. Ten obraz naprawdę tam był. Drżący, niewyraźny, ale prawdziwy. A potem zniknął.

Westchnął. Nie zdawał sobie do tej pory sprawy, że długotrwały brak snu może spowodować jakieś zwidy. On przecież nie był z tych, co to ulegają omamom. Zawsze mocno stojący na ziemi realista, ani sam nie wierzył w te bzdury, ani też nie był zbyt cierpliwy i tolerancyjny wobec tych, którzy im ulegali. Teraz powinien być naprawdę zaniepokojony stanem swojego umysłu. Zamiast tego uśmiechnął się gorzko, gdy pomyślał, że duch może być jedyną osobą, która z nim wytrzyma. Stanowczo nie pasował do ludzkiego towarzystwa, a już zwłaszcza kobiet.

Obraz Kirstin, nieproszony i nie chciany, pojawił się w jego pamięci. Przecież ta kobieta to istna papuga, trajkocząca jak karabin maszynowy. Miał dosyć jej przyjacielskiego zachowania. Ale w jakiś niezwykły sposób był nią oczarowany. Albo mógłby być, gdyby nie to, że w jego świecie nie było miejsca dla takich niewinnych, uczciwych kobiet.

Wspomnienie winy zaciążyło na jego sumieniu mocniej niż kamień na grobie. Powlókł się ze zwieszoną głową z powrotem do kominka, zapominając o pani Grams. Nawet nie dotknąłby kobiety takiej jak ona. Nie będzie miał z tym żadnych problemów.



## ROZDZIAŁ DRUGI

- Kirstin, to najlepszy indyk, jakiego kiedykolwiek jadłem. Ty chyba gotujesz jeszcze lepiej niż niegdyś twoja matka. Powinnaś zostać szefem kuchni. - Paul Stone patrzył córce prosto w oczy, a tymczasem pod stołem podsunął Mellie rozłożoną papierową serwetkę, do której dziewczynka szybko zsunęła groszek ze swojego talerza. - Mówiłem ci już, że John i Bette Simskon właśnie odlecieli do Europy?

- Simskonowie? Myślałam, że oni się rozwiedli.

- Owszem. Nie powinni byli nigdy się pobierać. Od kiedy się rozwiedli, są w jak najlepszych stosunkach. Bette opowiadała, że potem pojedą do Azji. O, zobacz! - Paul spojrzął na Mellie. - Zjadła wszystkie warzywa. Ale z ciebie grzeczna dziewczynka! Chyba zasłużyła na wielki kawał szarlotki, prawda?

- Wy chyba myślicie, że z powodu święta wszystko wam ujdzie bezkarnie?

- Czy to znaczy, że mama nas nakryła? - wyszeptowała Mellie do dziadka.

- Twoją mamę trudno podejść. Mówiłem ci, że ma oczy z tyłu głowy.

- Nie, dziadku, nie ma, tyle razy sprawdzałam. Ma tam tylko włosy. Wymyśliłeś to sobie.

.- Kto, ja? - Paul odchylił się do tyłu, żeby mała mogła wdrapać mu się na kolana i posłuchać kolejnej bajki. Zobaczył, że Kirstin zbiera talerze i zanosz je do

zlewu. Odczekał chwilę, ale na stole nie pojawiał się żaden deser. - Chyba nie pozbawisz nas szarlotki z powodu takiego małego, niewinnego kłamstewka.

- Nie bójcie się - odpowiedziała Kirstin z uśmiechem. - Chcę tylko najpierw przygotować coś dla pana Connora. On, zdaje się, nie ma tam w domu ani odrobiny jedzenia.

- W tym też jesteś podobna do matki. Nie przypomnam sobie świąt, żeby nie wynosiła jedzenia dla obcych. Ale powiedzcie mi wreszcie, jak wam się spodobał nasz nowy sąsiad.

- Ma taki fajny samochód - odezwała się od razu Mellie. - Czarny i błyszczący. I ma brodę, też czarną. Podoba mi się.

- Naprawdę?

- Tak. Wygląda jak wielki, stary niedźwiedź. Jest większy nawet od ciebie, dziadku.

- Taki wielki? - Paul spojrział na córkę, która właśnie stawiała na stole pokrojoną szarlotkę. - A czy dowiedziałaś się, skąd pochodzi albo co robi?

- Nie miałam czasu, żeby go wysondować, byliśmy tam tylko parę minut - odparła Kirstin, myśląc o tym, że ta chwila wystarczyła, aby Zachary Connor wywarł na niej ogromne wrażenie. Ale nie miała zamiaru dzielić się tymi myślami z ojcem.

Co chwila spoglądała w okno. Nie było jeszcze późno, dopiero co minęła szósta, ale niebo miało już głęboką ciemność atramentu. W powietrzu wirowały płatki śniegu. Do rana zasypie całe podwórze, a drzewa staną się białe. W taki wieczór najlepiej skulić się przy kominku, ogrzewając sobie stopy, i odprężyć się. Zamiast tego miała zamiar wyjść w tę ciemność i udać się do mężczyzny, który jasno dał jej do zrozumienia, że nie chce jedzenia ani też jej towarzystwa. Kończąc

wycierać stół, powiedziała sobie, że jest szalona. Jednak chwyciła kurtkę, podgrzała pojemnik z jedzeniem w kuchence mikrofalowej, a potem zatrzymała się na chwilę w progu.

- Ja tylko to zawiozę i zaraz wracam.

- Chcesz, żeby pojechać z tobą? Możemy wszyscy się przewietrzyć.

Potrząsnęła głową. Mellie siedziała przy kominku przytulona do dziadka, trzymając na kolanach książkę i swoją ulubioną zabawkę, pluszowego łośia. Cicho grał telewizor, a przytłumione światło bocznej lampy rzucało miękkie cienie na ściany.

- Nie musicie mi towarzyszyć. Poradzę sobie, tato, naprawdę. Raz-dwa będę z powrotem.

- Naprawdę chcesz jechać sama?

- Naprawdę.

Wcale nie czuła się tak pewnie. Kiedy tylko wyszła za drzwi, lodowate powietrze zaszczypało ją w policzki. Wraz z nadejściem wiatru temperatura opadła i panował przejmujący chłód. Trzęsąc się cała, wsiadła do półciężarówki, położyła pojemnik na siedzeniu i uderzyła łokciem o kierownicę. Masując bolącą rękę, próbowała zapalić silnik. Ten stary ford nawet dawał się uruchomić podczas mrozu, tyle że zdarzało się to rzadko i trzeba było nieźle się natrudzić. Potem musiała jeszcze zeskrobać szron z szyb. Tyle zachodu dla kogoś, kto był taki niemiły. Palce miała zlodowaciałe, kiedy wróciła do kabiny samochodu.

Na drodze nie spotkała żywej duszy. Nic dziwnego, każdy, kto ma choć trochę rozsądku, siedział teraz w domu, z rodziną, wygodnie i w ciepłe. Każdy oprócz niej. Musi chyba być niespełna rozumu. Ujrzała swoje odbicie w lusterku. W zeszłym tygodniu poszła obciąć sobie włosy, a fryzjerka namówiła ją na trwałą. Siniak

na policzku - rezultat próby przejścia przez zamknięte drzwi - nareszcie trochę zbladł i pomijając te głupie loki, wyglądała zupełnie normalnie. Nic nie wskazywało na to, że zaczyna ogarniać ją szaleństwo.

Zaświtało jej w głowie przypuszczenie, że Zach może zatrzasać jej drzwi przed nosem, ale jechała dalej. Miała dwadzieścia dziewięć lat - wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nie powinna zadawać się z obcym mężczyzną, zwłaszcza takim, który sprawiał, że czuła się niespokojna, zdenerwowana i niepewna siebie. Nieczęsto kierowała się impulsem, ale bywały takie chwile w jej życiu. Dzięki temu poznała swojego męża. Alan zwykle był cichy i nieśmiały, o przeciętnym wyglądzie i z tak nijaką osobowością, że żadna z kobiet w ich biurze nie spojrzała na niego dwa razy. Kiedy zaproponował jej spotkanie, mało brakowało, a odmówiłaby mu w przekonaniu, że nie będą mieli o czym rozmawiać. Jak bardzo się myliła! Alan okazał się cudownym kochankiem, wrażliwym i wyrozumiałym mężczyzną, który potrzebował tylko miłości i czułości, żeby wyjść ze swojej skorupy.

Nie miała powodu przypuszczać, że Zachary Connor w czymkolwiek przypominał jej męża, ale nie było wątpliwości, że wywarł na niej silne wrażenie. Wchodząc tego popołudnia do pilnowanego przez siebie domu, myślała, że zobaczy wymizerowanego człowieka, który rozchorował się z przepracowania. Jego bracia dzwonili do niej w ciągu dnia, gdyż nie mieli wiadomości od Zacha i chcieli wiedzieć, czy go widziała, czy dojechał szczęśliwie na miejsce, bo musiał przebyć taką długą drogę, a był chory.

Może i tak było. W końcu bracia powinni wiedzieć najlepiej, ale Kirstin w to nie wierzyła. Ona sama sześć lat temu straciła matkę, a od dwóch lat nie żył już Alan.

Ludzie uważali ją za niepoprawną optymistkę, ale ona wiedziała, co to jest żałoba, jak paraliżujący może być smutek, jak to jest, kiedy człowiek budzi się rano, czując ból w sercu, jakby miał tam wbity sztylet, i boi się poruszyć, oddychać i myśleć, żeby nie opadły go wspomnienia. Podobny ból zobaczyła w oczach Zacha. Niezupełnie smutek, raczej coś w rodzaju trudnego do udźwignięcia brzemienia.

W pierwszej chwili onieśmielił ją jego wygląd. Ta czarna, skórzana kurtka, kolczyk, długie włosy... Sprawiał wrażenie członka motocyklowego gangu, niebezpiecznego, zuchwałego - i zupełnie nie był w jej typie. Ale po minucie zapomniała już o tym wszystkim i nie potrafiła oderwać wzroku od jego oczu, z których wyzierało cierpienie. Nie, wcale nie czuła się za niego odpowiedzialna, nie wyobrażała też sobie, że bez jej pomocy zagłodzi się na śmierć. Ale wiedziała, że on nie ma tu żadnej rodziny, nikogo, kto by się nim zajął w potrzebie, a ona po prostu nie potrafiła przejść obok tego obojętnie, tak jak nie mogła zignorować płaczącego dziecka czy zabłąkanego psa.

Wjechała na podjazd, wyłączyła silnik, światła, wzięła jedzenie i wysiadła. Nagle serce zaczęło jej bić mocno, dłonie zwilgotniały i czuła, że nerwy ma napięte, a nogi trzęsą się, jakby stała na skraju stromego urwiska.

Co za bzdury. Czego tu się obawiać. Oczywiście, że Zach wywarł na niej wrażenie, jest przecież niebywale przystojny, ale nigdy nie czuła się onieśmielona w towarzystwie mężczyzny. W końcu kiedy jest się odpowiedzialną, samotną matką i pracowało się w świecie biznesu, trzeba umieć sobie radzić we wszystkich sytuacjach. Najwyżej on znów zachowa się nieuprzejmie. Wielkie rzeczy. Przywołała na twarz uśmiech

i dziarsko ruszyła do drzwi. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że dom pogrążony jest w ciemności.

Boże, co znowu? Pukanie do drzwi było uporczywie jak brzęczenie komara. Trzymając długą, nieporęczną latarkę, szedł do holu i szarpnięciem otworzył frontowe drzwi. Mimo braku światła natychmiast rozpoznał jadownicę różową kurtkę. To znowu ona, z tym swoim cholernym słodkim uśmiechem. Przekleństwo cisnęło się na usta, ale udało mu się je pohamować. W końcu to nie jej wina, że on jest w takim podłym nastroju. Powinien był też, do diabła, domyślić się, że wróci. Obiecał jej przecież, że porozmawiają o pracy, a sądząc z wyglądu przeżartej przez rdzę półciężarówki, przypuszczał, że musi jej na tym zależeć. On sam z kolei, po spędzeniu paru godzin w tym przeklętym domu, nabrał irytującej pewności, że sam sobie nie poradzi. Oby tylko nie liczyła na jego towarzystwo, bo ma zamiar trzymać się od niej z daleka.

- Nie musiała pani specjalnie przyjeżdżać - odezwał się, nie czekając, co ona powie. - I tak bym zadzwonił. Może pani przychodzić we wtorki i w piątki, a nawet częściej, jeżeli ma pani czas. Zapłacę tyle, ile pani zażąda.

- Pięćdziesiąt za godzinę.

- Dobrze.

- To był przecież żart. - Uniosła brwi, zaskoczona.

- Przyrzekam, że nie zażądam wygórowanej sumy. Cieszę się, że pan mnie zatrudni, ale właściwie przyszłam po to, żeby przynieść to jedzenie. Czy jest jakiś specjalny powód, dla którego jest tu tak ciemno?

- Lubię, kiedy jest ciemno.

- Coś musiało się stać ze światłem, w przeciwnym razie nie wzięłby pan ze sobą latarki. - Już znalazła się

w środku i wcisnęła mu w ręce ciężki pojemnik. O mało go nie upuścił, ale na szczęście przynajmniej wyjęła mu z ręki latarkę. - Pewnie zrobił pan spięcie, co? I to takie porządne. Mogę coś na to poradzić, znam się na takich przestarzałych instalacjach...

Bez wątpienia mówiłaby dalej, gdyby drzwi nie zatrzasnęły się nagle, jakby zostały pchnięte jakąś niewidzialną ręką. Popatrzyła na drzwi, a potem z powrotem na Zacha.

- Podmuch wiatru - powiedział machinalnie. Wiedział, że otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie usłyszeli charakterystyczny odgłos przekręcania klucza w zamku. Oboje stali co najmniej metr od drzwi i tym razem Kirstin aż podskoczyła.

- Cholera - mruknął Zach.

- Czy mi się wydawało, czy te drzwi zamknęły się same? - zapytała zdumiona, a potem potrząsnęła głową. - Przepraszam. Czasami w ciemności zaczynam myśleć o duchach. Tyle czasu spędziłam w tych starych domach, że nie powinnam przejmować się jakimiś dziwnymi odgłosami. Ale to nieważne, zaraz naprawię bezpieczniki. Tylko niech się pan nie sprzeciwia, dobrze? Dla mnie to nic nowego. Niech pan coś zje, bo moje przysmaki wystygną, a ja zaraz wrócę.

Ruszyła przed siebie, zabierając jedyne źródło światła, i za chwilę usłyszała odgłos wywracanego krzesła i jej okrzyk:

- Au!

W wyobraźni zobaczył ją ze złamaną nogą, unieruchomioną w jego domu na długie godziny. Pobiegł, jak tylko mógł najszybciej. Wiedział, gdzie jest szafka z bezpiecznikami. Zajął mu to niemal pół godziny, zanim w ciemności odnalazł ją w najdalszym zakątku znajdującej się za kuchnią spiżarni. Przy okazji przy-

najmniej zorientował się, że w domu nie ma piwnicy. Przez następnych dwadzieścia minut, przyświecając sobie latarką, przyglądał się antycznej tablicy rozdzielczej. Było tam chyba ze dwieście bezpieczników. Znalazienie właściwego potrwałoby pewnie do wtorku. No, może trochę krócej.

Kiedy dotarł do Kirstin, ta zdjęła już kurtkę i grzebała w torebce, przyświecając sobie latarką. Wyjęła z niej żółtopomarańczowy próbnik do prądu, a on zaczął się zastanawiać, co jeszcze ta dziewczyna nosi ze sobą.

- Nie musi pani tego robić - powiedział z gniewem.

- Oczywiście, że nie. Wiem, że pan sam by sobie z tym poradził - odparła uspokajającym tonem, wskazującym na duże doświadczenie w postępowaniu z upartymi mężczyznami, i to jakoś go ubodło. - Co z indykiem? Jak wychodziłam, był gorący, a droga trwała tylko kilka minut, ale w samochodzie było jak w lodówce.

Jedzenie było chyba w termoizolowanym pojemniku, bo czuł, że wciąż jest ciepłe. Wydawało mu się, że nie jest głodny, ale przykrywka uchyliła się trochę i poczuł zapach indyka. Zobaczył też jagodzianki, pachnące czymś, czego nie mógł w pierwszej chwili rozpoznać. Cynamon? Kiedy zgasło światło, on właśnie gotował wodę na kawę. Jedynymi rzeczami, jakie oprócz ubrań miał w walizce były: kawa i duża butelka Chivas Regal. Miał zamiar napić się whisky przed snem, a teraz zaczął żałować, że od razu nie otworzył butelki.

Kirstin gadała bez przerwy, przykładając próbnik do kolejnych bezpieczników. Pytała, czy bracia już do niego dzwoniли, opowiadała o panującym na dworze zimnie. Za każdym razem, kiedy sięgała w górę, jej



szczupłą figurę widać było wyraźnie nawet w tak słabym świetle. Pomyślał, że mogłaby być siostrą Audrey Hepburn - też była niemal pozbawiona biustu. Ale dzinsy uwydatniały zgrabne pośladki i długie, szczupłe nogi. Z trudem oderwał od nich wzrok i popatrzył wyżej. Po południu widział tylko kosmyki włosów wystające spod czapki, ale teraz zobaczył całe bogactwo rudawych loków, tak gęstych, że z przyjemnością można byłoby zanurzyć w nich dłoń...

- Pewnie już pan zwiedził cały dom. Czyż nie jest wspaniały? Przykro mi było patrzeć, że nikt tu nie mieszka. Te wszystkie alkowy i nisze, sufity pokryte stiukami i boazerie... jest w tym tyle wyrazu, tyle historii. Jestem prawie pewna, że został zbudowany w czasach statków wielorybnych...

Nagle światło się zapaliło, a zaraz potem usłyszeli odgłos włączającego się pieca do centralnego ogrzewania. Kirstin przestała na chwilę mówić i uśmiechnęła się do Zacha promiennie w poczuciu sukcesu. Znow zobaczył siniak na jej policzku. Był niewielki, najwyraźniej uderzenie nie było zbyt mocne, ale ciemny kolor mocno kontrastował z czystą, jasną skórą. Zach poczuł dziwną, przemożną potrzebę, aby go dotknąć. Na ustach nie miała żadnej szminki, wargi były delikatne i gładkie jak płatki róży. Też zapragnął ich dotknąć, tylko po to, żeby się przekonać, czy naprawdę są takie miękkie i wrażliwe, jak wyglądają.

Najwyraźniej poruszyła jego zmysły. Powiedział sobie, że powód tego jest oczywisty - była tak różna od wszystkich znanych mu kobiet. One dobrze wiedziały, co to grzech, już od wczesnej młodości były twarde i umiały się chronić. Pomyślał, że ta dziewczyna na pewno tego nie potrafi. Wszystkie emocje malowały się wyraziście na jej twarzy, policzki płonęły rumieńcem,

kiedy na niego patrzyła. Zach czuł, że jest pełna obawy i zdenerwowana.

- Proszę pana, jest coś, o czym muszę z panem porozmawiać...

- Proszę do mnie mówić: Zach.

- W takim razie, Zach... - Wyłączyła latarkę i głośno westchnęła. - Czasami po południu muszę zabierać ze sobą Mellie. Ona kończy lekcje o drugiej. Mój ojciec wprawdzie od kilku lat jest już na emeryturze, ale wciąż ma w porcie mały warsztat naprawy kutrów rybackich i czasami nie może zostać w domu. Gdyby to miało sprawić kłopot...

- Jeżeli tak ci wygodniej, to przyprowadzaj Mellie. Dla mnie to żadna różnica.

Wzmianka o dziecku podziałała na niego jak kubeł zimnej wody. Nagle zdał sobie sprawę, że gdy patrzył na Kirstin, czuł podniecenie, a jeszcze przed chwilą mógłby przysiąc, że hormony w jego ciele całkiem obumarły. Jej uczucia względem dzieci były oczywiste. Za każdym razem, kiedy wspominała o Mellie, jej twarz rozjaśniała się miłością i ciepłem. Nie miał wątpliwości, że chociaż jest łagodna i słaba, dla dziecka potrafiłaby poruszyć niebo i ziemię. Łatwo mógł sobie wyobrazić, co pomyślałaby o człowieku, który zachował się tak bez troski i samolubnie.

Odsunął się nerwowo, kiedy przeszła obok niego, wychodząc ze spiżarni. Nie dotknęła go, ale jej oczy znów miały dziwny wyraz. To tylko taki proces biochemiczny, mała, powiedział do niej w myślach. Wierz mi, łatwo sobie z tym poradzisz. Jestem ostatnim mężczyzną, z którym powinnaś chcieć się zadawać, a mnie z kolei wcale nie obchodzi, że tak ładnie ci w tym swetrze.

Uznał, że powinien coś powiedzieć.

- Dziękuję za naprawienie bezpieczników. Pewnie zajmując się starymi domami stałaś się kimś w rodzaju „złotej rączki”?

Powinien był się domyślić, że jak tylko da jej palec, to ona złapie całą rękę.

- Mój ojciec zawsze mawiał, że nie uznaje bezradnych kobiet. Tak naprawdę zajmuję się komputerami. Przez siedem lat pracowałam w Albany jako specjalista od analizy systemów komputerowych. A potem umarł mój mąż - miał tętniaka, nic na to nie można było poradzić - i ponieważ obie z Mellie byłyśmy załamane, przeprowadziłyśmy się tutaj, do ojca. W okolicy nie ma właściwie przemysłu, ludzie zajmują się tu głównie rybołówstwem i turystyką. W moim zawodzie nie mogłam znaleźć żadnej pracy, żeby zarobić na chleb z masłem, i chociaż właściwie nie miałam tego w planach, zaczęłam doglądać tutejszych domów. W wielu z nich właściciele mieszkają tylko w okresie wakacji i ludzie kłopotczą się tym, że przez resztę roku stoją puste... - Zachichotała nagle. - Jesteś taki sam jak Mellie. Ona też lubi tylko samą marchewkę, groszku nie.

- Ja nie... - Chciał powiedzieć, że wcale nie jest głodny, ale spojrzał na talerz i zobaczył, że jest prawie pusty, została na nim tylko łyżka zielonego groszku.

- Pewnie umierałaś z głodu, cieszę się, że jednak to przywiozłam. Jutro już sklepy będą otwarte. Najbliższy jest o kilometr stąd. Idąc na północ, wzdłuż wybrzeża, można tam trafić bez problemu. Facet, który go prowadzi, nazywa się Rolf i jest naprawdę...

Ona chyba nigdy nie przestaje mówić. Wcale nie miał ochoty wysłuchiwać historii jej życia ani zastanawiać się, jakiego rodzaju mężczyzną był jej mąż. Właśnie krzątała się, zamykając drzwiczki szafek

i szuflady, niemal automatycznie doprowadzając kuchnię do porządku, jak robi to każda kobieta. Zobaczyła brązową butelkę whisky stojącą na blacie, zerknęła na niego i szybko odwróciła wzrok.

- Czy już wybrałeś sobie któryś z pokoi na górze? Pewnie ten duży, z balkonem?

- Nie byłem na górze.

Nie miał zamiaru w ogóle tam wchodzić. Zatelefonował tylko do obu braci, a potem przez całe godziny obijał się po tych pokojach na parterze. Niezliczone, w większości małe, puste pokoje. Biblioteka bez książek, oranżeria bez kwiatów, drugi salonik, jadalnia i wreszcie ośmiokątny pokój z oknami ze wszystkich stron. Zaniósł tam swoje instrumenty i przez parę minut próbował grać na saksofonie. Strata czasu. Wydawał tylko różne dźwięki, ale to nie była muzyka. Muzyka nie chciała do niego powrócić, co zresztą nie było niespodzianką. Przestał grać i znów chodził po pokojach. Nie udało mu się osiągnąć spokoju, ale przynajmniej był sam i w całym domu panowała cisza. Natomiast w obecności pani Grams cisza pierzchała za siódmą górę i rzekę.

- Żartujesz? Naprawdę nie byłeś na górze? Tu są drugie schody, dla służby, prowadzą aż na drugie piętro. A tam jest szafa z pościelą, za tymi dziwnymi, rzeźbionymi drzwiami. Bóg jeden wie, kto to tam zostawił, ale wszystko popakowane jest w foliowe torby i można tego używać. Dobrze by było przedtem uprać tę pościel. Jeśli chcesz, mogę to zrobić, kiedy przyjdę we wtorek...

- Słuchaj, Kirstin. Nie możesz zachowywać się tak bezceremonialnie w stosunku do nieznanomych. Tak nie wolno.

- Wiem. - Po raz pierwszy powiedziała coś powoli,

ale i trochę drżącym głosem. - Ale ty wyglądałaś na... tak bardzo samotnego. Przepraszam, ja wiem, że mówię za dużo. Tak jest zawsze, kiedy jestem zdenerwowana i spotykam kogoś po raz pierwszy...

- Kirstin. - Powtórzył jej imię i znów przestała mówić. - Dziękuję ci za jedzenie - powiedział cicho. - Dziękuję za wymianę bezpiecznika. Ale teraz powinnaś wrócić do domu.

- Tak, oczywiście. Zresztą właśnie miałam wychodzić. Moja kurtka... - Rozejrzała się gorączkowo. - Pewnie zostawiłam ją w spiżarni. - Ruszyła przed siebie i natychmiast wpadła na kant kuchennego stołu. Nie zauważyła go, gdyż patrzyła na Zacha.

Wyraz jej twarzy zdradzał wszystko. Bóg jeden wie, co jej się spodobało w jego niechlujnym, zaniedbanym wyglądzie, ale coś musiało. Znał zbyt wiele kobiet, żeby nie zdawać sobie sprawy, kiedy wzbudza zainteresowanie. Nie, nie obawiał się, że mogłaby zachowywać się napastliwie. Mógłaby założyć się o wszystkie pieniądze świata, że Kirstin nie zwykła spoufalać się z mężczyznami. Nie było w niej nic jawnie uwodzicielskiego czy seksualnie agresywnego. Podejrzewał, że najbardziej ceni stare, tradycyjne wartości. Zobaczył, że znalazła w końcu kurtkę, włożyła ją niezgrabnie i stanęła bez ruchu.

- Powinnaś wrócić do domu - powtórzył spokojnie.

- Wielkie nieba, tak, tak. - Znów zaczęła biegać jak nakrecona. Ruszyła do wyjścia, cofnęła się. - Lepiej zabiorę te naczynia, po co masz je zmywać. I będę we wtorek, o pierwszej.

Jeszcze raz zatrzymała się, już przy drzwiach, i spojrzała na niego. Domyślał się, że zastanawia się, co powiedzieć. Pewnie coś miłego, jakieś słowa otuchy.

A może by ją pocałować? Ta myśl zakiełkowała mu w głowie i utkwiała tam jak drzazga. Stała tak blisko, z twarzą uniesioną w jego stronę. To by wiele rozwiązało, pomyślał, gdyby nagle chwycił ją w ramiona i brutalnie, bezwzględnie przycisnął usta do tych delikatnych, wrażliwych warg. Znał kobiety, wiedział, jak z nimi postępować. Zachowując się właśnie w ten sposób spowodowałby, że przy następnej okazji dwa razy pomyślałaby, zanim zaoferowałaby swoją pomoc obcemu mężczyźnie. Pokazałby jej wyraźnie, że wcale nie jest taki sympatyczny, za jakiego, jak sądził, ona go uważa. To by ją wystraszyło. To naprawdę świetny pomysł.

Podniósł rękę. Kirstin nawet nie drgnęła. Wiedział, że to byłoby łatwe, łatwiejsze niż zabranie dziecku cukierka. Ona w ogóle nie przeczuwała niebezpieczeństwa. Do diabła. Przecież nie może tego zrobić. Zaciśnął szczęki, gwałtownie odwrócił się od niej i otworzył drzwi.

- Dobranoc.

Wyprostowała się szybko i zaraz spuściła wzrok.

- Dobranoc, Zach.

Kiedy tylko znalazła się za drzwiami, zamknął je i przekręcił klucz w zamku. Dom znów spowiła cisza. Przez to jej nieustanne, nieprzerwane paplanie zapomniał już, jaka grobowa cisza panuje w takim starym, opuszczonym domu. Idąc, zgasił światło w holu, a następnie w jadalni. Myślał o butelce czekającej w kuchni. Jeżeli wypije dostatecznie dużo, może uda mu się zasnąć. Bo jeżeli nie będzie spał, to w końcu chyba postrada zmysły. Miał zamiar wziąć whisky, dołożyć trochę drewna do ognia w salonie i zrobić sobie jakieś posłanie na podłodze. Zamiast tego stał i patrzył przez okno. Jej samochód właśnie odjeżdżał,

światła lśniły w ciemności nocy. Wyszła z domu w tę ciemną, lodową noc specjalnie dla niego. To mu przeszkadzało, drażniło jak zgrzyt kredy, którą ktoś pisze na tablicy. „Ale ty wyglądałaś na... tak bardzo samotnego”. Powiedziała tak, jakby cokolwiek mogła o nim wiedzieć. Nic nie wiedziała, absolutnie nic.

- Widziałeś, jak ona na ciebie patrzyła?

Zach rozejrzył się dokoła. Znów ten zachrypnięty baryton. Przy sąsiednim oknie zadrżały zakurzone koronkowe franki, ale nie było tam nikogo. Żadnego cienia, żadnej postaci, niczego.

- Ona była tutaj już przedtem, a ja nie myślałem, że byłaby dobra dla ciebie. Jakoś wydawało mi się, że wolałbyś kobietę bardziej doświadczoną, namiętną. Ale spodobała ci się chłopcze, co? Widziałem, jak na nią patrzyłeś. To żadna sprawa zaprowadzić ją do łóżka. Ona jest z tych, co to myślą sercem. Impulsywna czy coś w tym rodzaju. I mi się wydaje, że już dawno nie była z mężczyzną. Łakomy kasek...

Zach okręcił się na pięcie. Nie było nikogo. Nikogo. Tylko ten głos, a przedtem zamglony obraz pirata w lustrze, zamykające się nagle drzwi, kiedy przyjechała Kirstin... Był pewien, do cholery, że to gra wyobraźni. I znów rozśmieszyło go to, że płata mu ona takiego figła, wyczarowując ducha do towarzystwa. Zachciało mu się śmiać.

- ...biustu to ona za dużo nie ma, trochę tu się rozczarujemy, ale rozebrana wygląda lepiej, niż sobie wyobrażasz, chłopcze. Długie nogi ciasno się owina wokół ciebie, a pod tymi portkami ma taką delikatną, białą skórę. Pozwól jej zacząć, a nigdy się nie zatrzyma, tyle ognia jest w takim małym ciele, a jej włosy będą jak płomienie w twoich rękach. Ona ma takie małe znamię na pupce...

- Do cholery. - Zach przestał już się uśmiechać.  
- Słuchaj no, ty! Odczep się od niej.

Poczuł się jak idiota, który przemawia do pustego pokoju. Wzruszył ramionami. Gdyby zostawić kogokolwiek samego na tak długi czas, w końcu jego myśli zaczęłyby błądzić w jakichś dziwnych kierunkach. To było naprawdę śmieszne... do momentu, kiedy głos zaczął omawiać intymne szczegóły ciała Kirstin. Ten duch był starym świntuchem i do tego jeszcze podglądaczem.

Czyżbyś chciał ochraniać ją przed duchami? Teraz chyba naprawdę zaczynasz gonić w piętke.

Zach westchnął, kompletnie wyczerpany, i skierował się prosto do kuchni, gdzie czekała na niego butelka whisky.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Kirstin wbiła zęby w kruche, czerwone jabłko. Jechała właśnie do Zacha drogą, której mokra, czarna nawierzchnia połyskiwała w słońcu. Śnieg stopniał już parę dni temu i teraz panowała typowa w tych okolicach pogoda - najpierw poranne mgły spowijały wszystko gęstymi, szarymi obłokami, by około południa zniknąć pod wpływem słońca.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła pierwsza. Z tyłu doganiał ją jakiś samochód. Kirstin nie mogła jechać szybciej, jej stary ford kaszłał i parskał, gdy tylko przekraczała osiemdziesiątkę. Pomachała ręką tamtemu kierowcy - znała go, o tej porze roku na drodze spotykało się prawie wyłącznie znajomych. Za to w lecie wszędzie było pełno turystów, a port wypełniała przedziwna mieszanka rybackich łodzi i kosztownych jachtów. Miejscowi nazywali turystów stonką. Co prawda miasteczko Bar Harbor utrzymywało się głównie z turystyki, ale to wcale nie znaczyło, że trzeba zaraz kochać przyjezdnych. Był taki stary dowcip o pewnym turyście, który powiedział: „Czasami odnoszę wrażenie, że mieszkańcy stanu Maine byłiby najszczęśliwsi, gdybyśmy wszyscy zostali u siebie w domu i tylko wysłali im pieniądze pocztą”.

Wjeżdżając na podjazd przy domu Zacha, Kirstin bardzo dobrze wiedziała, dlaczego ten żart przyszedł jej na myśl właśnie teraz. Tutejsi mieszkańcy trzymają

się z dala od obcych, a ten czarny, sportowy samochód automatycznie kwalifikował go do kategorii turystów. Nikt nie będzie czepiał się jego włosów czy wyglądu ani drażył wścibskimi, natrętnymi, osobistymi pytaniami. Nikt oprócz niej.

Frontowe drzwi nie były zamknięte. Weszła do środka i zawołała Zacha, ale nikt nie odpowiedział. W kuchni na stole leżała kartka, a jej treść nie mogła już być bardziej lakoniczna. „Będę wdzięczny, jeśli uda ci się zrobić cokolwiek z tą kuchnią”. Obok leżało dwieście dolarów w dwudziestkach. Kartka napisana była naprędce, niewyraźnie. Kirstin zdjęła kurtkę, nie odrywając wzroku od listu, chociaż wcale nie była zaskoczona nieobecnością gospodarza. Zauważyła już, że Zach jest ogromnie nieśmiały wobec kobiet.

Ciepłej jej się zrobiło na wspomnienie ich pierwszego spotkania, pięć dni temu. Może i nie chciał, żeby przywiozła mu jedzenie, ale pochłonał je, jakby umierał z głodu. On po prostu nie lubił, żeby mu pomagać. Rozumiała ten rodzaj dumy.

Właściwie była przekonana, że nie miał zamiaru jej pocałować, choć był taki moment w holu, kiedy podszedł do niej, uniósł rękę i utkwiał te płonące, błękitne oczy w jej twarzy. Zobaczyła w nich samotność i potrzebę kontaktu z drugim człowiekiem. Dawno, dawno temu widziała wilcze szczenię, które zabłąkało się w okolicach domu ojca. Widać było, że jest wygłodniałe, zmarznięte i szuka jakiegoś schronienia. Ojciec wyniósł mu jedzenie, ale zwierzę było tak wystraszone, że bało się je wziąć. Zach przypominał jej tego wilczka, chociaż przecież z jej strony nie musiał niczego się obawiać.

Nucąc coś fałszywie, podwinęła rękawy seledynowej bluzy i spojrzała jeszcze raz na stół. Ta kwota, rzecz

jasna, była nie do przyjęcia. Musi to z nim omówić, ale na razie trzeba uporać się z kuchnią. W lodówce znalazła główkę sałaty, pół litra mleka i trochę wędliny. W jednej z szafek stało kilka puszek gotowego spaghetti i tym podobnych rzeczy. To było wszystko, jeśli nie liczyć kawy i nie rozpoczętej jeszcze butelki alkoholu, tym razem brandy. Potrząsając głową, zaglądała do kolejnych pokoi. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak pięć dni temu. On nic nie jadł - w każdym razie nic porządnego - i nawet nie pozdejmował pokrowców i nie otworzył okien. Najwyraźniej spał w salonie, bo znalazła tam koc i poduszkę ułożone na kanapie, a na górze były przecież takie wspaniałe sypialnie.

Jednak zanim dom będzie nadawał się do zamieszkania, trzeba wymyć wszystkie okna, wyszorować podłogi, odświeżyć zasłony i meble. Jasne, że nie zrobi tego od razu, ale spróbuje każdego dnia wysprzątać choć kilka pokoi. Postanowiła, że dzisiaj zajmie się kuchnią oraz przygotowuje pokój na górze, żeby nareszcie Zach mógł spać wygodnie.

Dwie godziny później wchodziła po schodach, nucąc pod nosem motyw z Dziewiątej Symfonii Beethovena, niosąc ze sobą swoją skrzynkę z narzędziami i naręcze pościeli, ciepłej jeszcze po wyjęciu z suszarki. Hol na górze był wielki i ciemny, z bezcenną podłogą z drewna kasztanowego, okrutnie zaniedbaną. Podłoga jednak będzie musiała jeszcze poczekać. Drzwi prowadziły do sześciu sypialni i dwóch łazienek. Kirstin bez wahania skierowała się do największego pokoju. To było naprawdę coś. Z przeszklonych drzwi balkonowych rozciągał się romantyczny widok na opuszczoną latarnię morską i wzburzony ocean. Centralne miejsce w pokoju zajmowało gigantyczne łóże

z baldachimem, stojące na podwyższeniu. Pomyślała, że można zgubić się w takim łóżku, nurkować wśród prześcieradeł, oczywiście z odpowiednim mężczyzną.

Na podłodze leżał perski dywan - stary, ale wciąż gruby i miękki. W rogu zauważyła antyczny, pikowany parawan, a obok wysokie, sięgające podłogi lustro. Mogła łatwo wyobrazić sobie, jak kobieta rozbiera się za tym parawanem, a jej kochanek czeka niecierpliwie na łóżku. Zdjęła pokrowce z pozostałych mebli - kanapy pokrytej czerwonym brokatem, wysokiej, rzeźbionej bielizniarki i podobnego do tronu fotela z nogami w kształcie zwierzęcych łap, wyściełanego aksamitem koloru czerwonego wina.

Pracowała w wielu starych domach, ale nigdzie nie widziała wspanialszej sypialni. Ten pełen luksusu pokój nasuwał myśli o piratach i porwanych księżniczkach, o nocach poślubnych, o dziko wiejącym wietrze, świetle księżycy i o kochankach przeżywających chwile gwałtownej, niepohamowanej namiętności...

Poczuła przeciąg i usłyszała z tyłu trzaśnięcie zamkniętych drzwi. Zaskoczona odwróciła się, o mało nie rozbijając sobie nogi o kant kanapy. Podeszła do drzwi i spróbowała przekręcić gałkę. Ani drgnęła. Zdumiona, przycisnęła ją mocniej, ale zamek nie ustąpił. Okazało się, że została zamknięta w pokoju. Cofnęła się o krok i wtedy przypomniała sobie, jak drzwi frontowe zamknęły się w tajemniczy sposób pierwszego wieczoru po przyjeździe Zacha. Uśmiechnęła się. To musiał zrobić Zach, bo któż inny? Poczuła się trochę nieswojo, zamknięta w jego sypialni. Mogła co prawda zejść zewnętrznymi schodami z balkonu, ale miała nadzieję, że nie będzie musiała tego robić. Na dworze było dość zimno, a jej kurtka została w kuchni.

Zachowi na pewno nie zależy na tym, żeby się przeziębiła.

- Zach - zawołała. - Zach?

Był przemarznięty do szpiku kości. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że minęła piąta. Do tej pory ona na pewno już sobie poszła. Podniósł się i poczuł, że nogi mu zdrętwiały. Znalazł wygodne miejsce, osłonięte od wiatru, ale i tak zimno już dawno przeniknęło go na wskroś. Włosy i twarz miał szorstkie od słonego, wodnego pyłu. Słońce zaszło, a niebo i morze stały się szare. Skały były gładkie i śliskie, łatwiej było wspinać się po nich, niż schodzić w dół. Ale jemu było wszystko jedno.

Myślał o Sylvie. Właściwie nie robił nic innego przez całe popołudnie. Jak małe dziecko, które nie potrafi przestać rozdrapywać strupa, on miał wciąż przed oczami jej twarz, okoloną czarnymi jak węgiel włosami. Była późna noc, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, koncert już się skończył, ale on wciąż czuł ożywienie wywołane muzyką. W ostatnich latach nieczęsto mu się to zdarzało. Na początku kariery światła estrady, oklaski, tłumy zgromadzone na widowni robiły na nim wrażenie, ale teraz był już tym zmęczony. Tego wieczoru jednak było inaczej. Zwykle zespół grał coś w rodzaju mieszanki rocka i bluesa, ale tym razem był tylko jego ulubiony blues i muzyka wypływała z niego bez żadnego wysiłku, jak z otwartej, pulsującej żyły. Była to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy wszystko wychodziło idealnie, kiedy każdy dźwięk i każdy akord był doskonały. Zach nie pamiętał o tym, że jest na scenie, aż do momentu, kiedy słuchacze zaczęli bić brawo i domagać się bisów. Później Sylvie znalazła go w barze, gdzie poszli z całym zespołem. Zachowywała

się jak lwica podczas łowów i bez najmniejszego wysiłku oddzieliła go od reszty, jakby wybrała sobie ofiarę. Podobała mu się ta bezpośredniość, a poza tym ta dziewczyna była tak cholernie piękna. Okazało się, że właśnie opuścił ją przyjaciel i czuła się bardzo samotna.

Zach wiedział doskonale, że kobietom, które polowały na niego podczas tras koncertowych, tak naprawdę nie chodziło o niego samego. Chciały po prostu przespać się z gwiazdą rocka. Nie miał złudzeń, że Sylvie różni się od tamtych, ale akurat wtedy, tamtej nocy, nie chciał być sam. Od miesięcy już był w trasie i zmęczyła go samotność. Ona miała na niego ochotę i nie trzeba było nic więcej. Miał prezerwatywy, ale nie użył ich, ponieważ Sylvie powiedziała, że stosuje kapturek. Nie był to odpowiedni moment, żeby myśleć o procentach skuteczności tego czy tamtego środka. Ona była chciwa, gorąca i wysssała z niego wszystkie soki. Właściwie nie był zaskoczony, kiedy obudził się rano i zobaczył, że zniknęła. Po prostu chciała mieć przygodę ze znanym muzykiem. Użyła go, tak samo zresztą, jak on użył jej, by na chwilę odpędzić samotność. Wtedy nie widział w tym nic złego. Oboje byli pełnoletni. Cóż mogło im się stać? Myślał tak aż do chwili, kiedy ona zadzwoniła do niego trzy miesiące później. Znalazła go aż w Michigan, żeby powiedzieć mu, że jest w ciąży. I że chce pieniędzy.

Zach zacisnął zęby i odpędził wspomnienia. Trzymając ręce w kieszeniach, wracał w stronę domu. Nie miało sensu myślenie o spotkaniach z adwokatami i o paskudnym numerze, jaki na koniec wycięła mu Sylvie. Wszystkiemu była winna tamta noc, będąca podsumowaniem jego stylu życia - beztroskiego, samolubnego, egocentrycznego drania, który nawet nie

pomyślał, czy powinien przespać się z kobietą, której prawie nie znał. I w wyniku tego, co się stało, zostało poczęte dziecko, dziecko z jego krwi, jego genów, jego duszy. Jego dziecko. A teraz jest ono wychowywane przez obcych, a on nawet nie wie, do diabła, czy ktoś je kocha. I nic już nie można było zmienić, nic nie zależało od niego. Jedyna rzecz, na jaką miał wpływ, stała się na początku i czasami myślał, że oddałby duszę, żeby móc cofnąć tamtą noc.

Z opuszczoną głową wszedł przez tylne drzwi i zrzucił z nóg przemoczone buty. W skroniach pulsował znajomy ból głowy, a stopy miał jak zamrożone. Może za pomocą brandy uda mu się również zamrozić sumienie. Podeszedł do szafki, żeby wyjąć szklanekę, i zdał sobie sprawę, że w kuchni pachnie i wygląda jakoś inaczej. Był to świeży, czysty zapach, jaki panował w kuchni jego matki całe wieki temu. Odkręcił nakrętkę butelki i nagle zamarł z wrażenia.

- Zach? Zaach!

Nie, powiedział sobie, przecież ona nie może wciąż być tutaj. Niestety, kiedy wyrzał przez okno, zobaczył jej samochód zaparkowany na podjeździe. Jak mógł go wcześniej nie zauważyć?

- Zach?

Słyszał jej głos, ale w pierwszej chwili nie wiedział, skąd dochodzi. Dopiero gdy zawołała jeszcze raz, zdał sobie sprawę, że jest gdzieś na piętrze. Pobiegł tam, przeskakując po dwa stopnie, i przystanął zdezorientowany w ciemnym przedpokoju, z wieloma pozamykanymi drzwiami. Spróbował po omacku znaleźć kontakt, ale bez powodzenia.

- Gdzie jesteś?

- Przyjdź tu wreszcie. Świetnie wiesz, gdzie jestem. Wcale tak nie było, ale przynajmniej jej głos za-

prowadził go do właściwych drzwi. W zamku tkwił klucz i musiał go przekreślić, żeby dostać się do pokoju. Wzrok Kirstin wbił się w niego jak sztylet, policzki miała zaczerwienione.

- Nic ci się nie stało?

Głupie pytanie, przecież widział, że nic. Wyglądała tak jak zawsze - jak ktoś, kto sam jest prawy i uczciwy i jeszcze na dodatek wierzy, że inni też są tacy. Uzmysłowił sobie, że ona na pewno nie zrozumie, jak mógł prowadzić takie życie. Przesunął ręką po włosach.

- Jak, na Boga, się tutaj zamknęłaś?

- Już ty wiesz, jak - odpowiedziała z naciskiem, a potem dodała, już spokojniej: - W porządku. Rozumiem, że to był żart. Po prostu trochę się zaniepokoiłam, bo myślałam, że przyjdiesz od razu.

Do tej pory Zach był w stanie przewidzieć, jakie słowa wypłyną z jej ust, ale tym razem poczuł się naprawdę oszołomiony. Chciał coś odpowiedzieć, tylko zupełnie nie wiedział, co. Ona chyba powzięła jakieś zwariowane przypuszczenie, że zamknął ją na klucz. To było szalone. Ale, do cholery, nie był w stanie wyjaśnić jej, że drzwi w tym domu zaczęły się same zamykać w tajemniczy sposób, kiedy była w pobliżu. Przecież nie będzie mówił o duchach, bo ta dziewczyna weźmie go za obłąkanego.

- Już w porządku - powtórzyła uspokajającym tonem. Uśmiechnęła się i wskazała ręką pokój. - Nie miałam nic przeciwko temu, żeby tu trochę побыć. Miałam sporo roboty. Kiedy sprzątałam kuchnię, włożyłam trochę bielizny pościelowej do pralki. Przecież nie chciałbyś wiecznie spać tam na dole, a tę sypialnię naprawdę trzeba było najpierw doprowadzić do stanu używalności. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, co tu znalazłam pod pokrowcami...



Nie miał pojęcia, co było pod pokrowcami. W ogóle przecież tu nie zaglądał. Teraz spojrział ponad jej głowę. Prawdziwa jaskinia grzechu - czerwony aksamit, brokaty, perskie kobierce, łoże tak ogromne, że mogłoby zmieścić cały harem. A na środku sypialni stała Kirstin z zaczerwienionymi policzkami, gdyż zdała sobie sprawę, że skierowała jego uwagę na te wielkie, szerokie materace. Popatrzyła na niego i szybko odwróciła wzrok. Nie potrzebował czytać w jej myślach, by wiedzieć, co sobie pomyślała. Pomyślała, że miał ukryty cel, żeby zamknąć ją właśnie tutaj, w sypialni, w pobliżu tego wielkiego, pustego łoża.

Po raz drugi otworzył usta, ale nic nie potrafił powiedzieć. Na szczęście można było polegać na Kirstin, że nie dopuści, aby cisza trwała dłużej niż chwilę.

- Był artykuł w gazecie o tobie, w niedzielę - zaczęła. - A w każdym razie tak mi się wydawało, że to o tobie, bo nie było żadnych zdjęć. Pisali o rozpadnięciu się zespołu „Smuga Ognia”. Lider tego zespołu i autor piosenek nazywa się Zachary Connor. To ty?

- Tak. - Cholera jasna, pomyślał. Nowina musiała się rozejść, przecież odwołali koncerty. Ale jeśli oficjalna wiadomość o rozwiązaniu zespołu dostała się do gazet, to bracia zaraz go dopadną, żeby dowiedzieć się, co zaszło. A nie był pewien, czy potrafi im to wyjaśnić.

- A więc... grałeś w zespole rockowym?

- Graliśmy trochę rocka, trochę bluesa.

- Zajmujesz się muzyką?

- Już nie - odparł krótko. Przyglądał się Kirstin, która krzątała się po pokoju i zbierała swoje rzeczy. Na dywanie leżała otwarta plastikowa skrzynka, wypełniona najprzeróżniejszymi rzeczami, od śrubokrętów

po szmatki do czyszczenia. Spodnie Kirstin miały dziurę na kolanie, a na jej nosie widniały piegi. Pomyślał, że gdyby chciał wskazać kobietę najbardziej różniącą się od Sylvie - czy też od wszystkich takich Sylvie w jego życiu - to byłaby nią Kirstin. Świeża i zdrowa jak wiosenna bryza. Czysta jak słońce. I chodzące zagrożenie dla jego spokoju. To ona nasunęła mu ten pomysł. Oni oboje, w tym łóżku. W ciemności, rozjaśnionej poświatą księżyca sącząca się przez to wielkie okno, jej włosy jak płomień na białej poduszce, jej smukłe ciało tulące się do niego.

- Lubię muzykę - powiedziała Kirstin z łobuzerskim uśmiechem. - Niestety, bez wzajemności. W tańcu zawsze była ze mnie okropna niezdara. A kiedy byłam na piątym roku studiów, zapisałam się na lekcje gry na klarnecie. Niestety, nauka trwała tylko jeden dzień. Nauczyciel muzyki zaczął mnie błagać, żebym przeniosła się na zajęcia plastyczne. Mój tata gra trochę na skrzypcach, a Mellie ma naprawdę ładny głosik, ale Bóg najlepiej wie, że nie odziedziczyła go po mnie. Czy reszta twojej rodziny też jest muzykalna?

Zach przestępował z nogi na nogę. Ona papie, a on w tym czasie wyobraża ją sobie nagą. Panie Connor, jesteś świnią, pomyślał. To zresztą nic nowego.

- Nie - odpowiedział. - Na szczęście ta ułomność nie dotknęła nikogo poza mną. Obaj bracia stąpają twardo po ziemi. Michael, jak tylko wyrósł z krótkich spodenek, stał się świetnym biznesmenem. Zaczął od straganu z rozcieńczoną lemoniadą i od tego czasu bez przerwy robi pieniądze. A Seth... on zawsze miał zręczne ręce. Jest stolarzem, ale naprawdę dobrym. Wytworzył artystyczne meble.

- W takim razie na pewno spodobały mu się niektóre meble w tym domu.

- O tak, na pewno.

- A reszta twojej rodziny? - pytała dalej Kirstin, chowając płyn do mycia okien i rolkę papieru toaletowego do swojej skrzynki.

- Został jeszcze tylko ojciec. Mama opuściła nas, kiedy byliśmy mali, a tata nawet chyba nie myślał o tym, żeby ożenić się ponownie. I tak już zostało - dom samych mężczyzn. Zdaje się, że żaden z Connorów nie miał szczęścia do kobiet.

- Żaden z twoich braci nie jest żonaty?

- Tylko Michael.

- Powiedziałeś to tak, jakbyś nie lubił swojej bratowej - zauważyła Kirstin, zamykając pudło i zerkając na niego.

- Jemu się wydaje, że ona jest ósmym cudem świata - odpowiedział, masując sobie kark. - Carla jest jedną z tych osób, które zawsze wyglądają bez zarzutu, postępują bez zarzutu... jakby nie musiały spluwać po umyciu zębów, tak jak robią to pozostali śmiertelnicy. Nigdy nie widziałem, żeby na przykład miała rozwichrzone włosy. A Michael jest zupełnie normalny, więc zawsze mnie zastanawiało, jak oni mogą być szczęśliwi ze sobą... - Urwał, zdając sobie sprawę, że przecież wcale nie chciał powiedzieć tego wszystkiego. Nigdy nie rozmawiał z obcymi o sobie ani o swojej rodzinie.

Kirstin kierowała się do wyjścia. Wyłączyła górne światło i pokój wypełnił mrok.

- Zaniosę ci to na dół - zaproponował, pamiętając, co ona poupychała w swojej skrzynce.

- O, dziękuję. To jest dość ciężkie. Muszę iść. Jeżeli zaraz nie zjawię się w domu, to moja rodzina chyba zwróci się do policji. Chciałam tylko ci powiedzieć... jeśli potrzebujesz towarzystwa, to możesz na mnie liczyć.

Może mógłby ją powstrzymać, gdyby od razu zorientował się, co ona chce zrobić. Ale trzymał obie ręce w kieszeniach, kiedy ona podeszła, dotknęła czubkiem palca jego brody i pogładziła, a właściwie musnęła dłonią policzek. A potem przymknęła oczy, wspięła się na palce i pocałowała go.

Stał jak wryty. Domyślał się, że chciała w ten sposób wyrazić przyjacielskie uczucia. Teraz powinna odsunąć się, ale ona nie ruszyła się wcale. Podniosła głowę i otworzyła oczy - ogromne, lśniące i głębsze niż toń jeziora. Doskonale zdawał sobie sprawę, co teraz może nastąpić. Wyszarpnął ręce z kieszeni, myśląc o tym, że jak na kobietę, która była mężatką, ona nie bardzo zna się na mężczyznach. On nie jest facetem, któremu można by zaufać. Dlatego miał zamiar ją odepchnąć i to nawet szorstko, jeśli tak będzie trzeba. I tak jej odpowiedzieć, żeby jasno zrozumiała, na co może liczyć.

Otworzył usta... ale było za późno. Jej wargi znów dotykały jego ust - kusząco, zapraszająco. Objął ją rękami w pasie, ale wcale nie odepchnął, jak się odgrażał w myśli. Po prostu nie wiedział, jak to zrobić, nie urażając jej uczuć. A ona całkiem wprawiła go w zakłopotanie, szepcząc coś w ciemności uspokajającym tonem. Tak jakby to on potrzebował uspokojenia. Pogładziła go delikatnie po czole. Wszystko w porządku, Zach, zdawał się mówić ten gest. Wszystko będzie dobrze, nie przejmuj się.

Ale nagle okazało się, że wcale nie będzie dobrze, że jest się czym przejmować. Pomyślał, że to mogło zdarzyć się każdemu mężczyźnie, że każdy najbardziej pożąda kobiety, której pragnąć nie powinien. A Kirstin jest właśnie taką kobietą. To zakazany owoc. Przynajmniej w stosunku do niej jednej powinien

wykazać na tyle charakter i uczciwość, żeby zostawić ją w spokoju. Ale jej usta wciąż dotykały jego warg, były prężne, nieustępliwe i niebezpiecznie oszałamiające. Miały smak mięty, tak jakby niedawno trzymała w ustach cukierek, a oprócz tego jakiś własny, niepowtarzalny smak.

Zach całował setki kobiet, ale żadna nie była do niej podobna. W jego środowisku pocałunek był jedynie wstępem do pójścia do łóżka. Wiedział, że kobiety zawsze czegoś od niego chciały. Natomiast Kirstin nie chciała zupełnie niczego. Ona dawała mu swoje usta, swój pocałunek. Tak długo był samotny, a ona była tak blisko i jej usta dawały ciepło, jak pieszczotliwe promienie słońca. Dotykały go ostrożnie, jakby doszła do jakiegoś szalonego wniosku, że mógłby się złamać. Delikatnie, jakby miała równie szalone wrażenie, że silniejsze przyciśnięcie mogłoby zrobić mu krzywdę.

To ona była delikatna, podatna na zranienie, nie on. I kiedy pochylił głowę i oddał jej pocałunek, jednocześnie przyrzekł sam sobie, że zaraz skłoni ją, by odeszła. W jej obecności czuł się stary, brudny, zepsuty, naznaczony piętnem grzechu i błędów, których ona nigdy nie zrozumie, więc trzeba zostawić ją w spokoju. I zaraz to robi. Za chwilę. W tym momencie był za bardzo zaniepokojony, żeby pozwolić jej odejść. Stało się coś dziwnego, coś szalonego. Coś, co nie miało żadnego sensu, i to wszystko miało związek z nią.

Prawa ręka Kirstin powędrowała wyżej i zacisnęła się na jego kołnierzyku. Wargi rozchyliły się w odpowiedzi na silniejsze przyciśnięcie jego ust, a całe ciało dziewczyny przylgnęło do niego mocniej, rozbudzając pożądanie, powodując szybsze krążenie krwi. Czuł ciepło jej skóry pomimo grubej bluzy, czuł, jak twardnieją jej małe piersi. Słyszał głośne bicie jej serca

i wiedział, że Kirstin zdaje sobie sprawę z ogarniającego ich oboje pożądania. Ona odpowiadała na to coraz głośniejszymi uderzeniami swojego serca, a on słyszał tę odpowiedź. To wszystko nie miało najmniejszego sensu, pomyślał, bo to, co słyszał, było muzyką, pieśnią miłości i bolesnej samotności, magicznymi dźwiękami, którymi rozbrzmiewała jej dusza.

Wyprostował się, czując się nagle wstrząśnięty, ogłupiały i wyprowadzony w pole. Przecież nie było żadnej muzyki. Po prostu w Kirstin było coś takiego, co wprawiało go w zmieszanie i to od pierwszej chwili, kiedy się spotkali.

Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Rękami wciąż obejmowała go za szyję i dopiero teraz powoli zaczęła je opuszczać.

- Nikt nigdy mnie tak nie całował - wyszeptała.

Nie podobało mu się to, co powiedziała. Nawet owca powinna mieć na tyle rozsądku, żeby nie przyznawać się przed wilkiem do swojej słabości. Przeszyło go poczucie winy. Nie wolno mu było jej dotykać. Nie miał prawa jej całować.

- Nic nie zaszło - odpowiedział ostro.

- Może dla ciebie. - Uśmiechnęła się lekko, kusząco.

Nie wiedział, jak się zachować i co powiedzieć tej naiwnej istocie.

- Słuchaj, Kirstin - zaczął, starając się zachować spokój - jesteśmy sami w całym domu. Kiedy zbliża się do ciebie facet, którego w ogóle nie znasz, w takim miejscu, gdzie mogłabyś sobie krzyczeć do woli i nikt by cię nie usłyszał, to powinnaś mieć na tyle rozsądku, żeby rąbnąć go czymś w głowę i uciec.

- Tak?

- Oczywiście.

- Będę o tym pamiętała następnym razem - szepnęła.
- Nie będzie następnego razu.
- Jak chcesz, Zach. - Jeszcze raz uśmiechnęła się i wyszła.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Minał kwadrans, a Zach wciąż stał w ciemności, trzymając ręce w kieszeniach. Przez drzwi balkonowe słychać było stłumiony szum oceanu. Coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że wszystkiemu była winna ta sypialnia. Jej nastrój mógł skusić nawet świętego, a u niego, po długim okresie abstynencji, po prostu dały znać o sobie hormony. Odwrócił się gwałtownie, wypadł z pokoju i ruszył po schodach w dół. Poczłł nagle znajomy, chłodny przeciąg.

- Musiałeś dobrze się spisać, chłopcze. Policzki miała całe czerwone, a oczy błyszcząły jej jak klejnoty. O mało się nie zabiła, jak pędziła w dół po schodach. Całowałaś ją, co?

- Powinieneś sam wiedzieć. - Oto następny objaw choroby, pomyślał. Rozmawia z duchem. Ale to wszystko dlatego, że wciąż jest sam, a do tego w nocy cisza tego starego domu jest już zupełnie nie do wytrzymania.

- Hmm, no cóż, szczerze mówiąc, nie widziałem, co tam z nią robiłeś. Mogę chodzić po całym domu, ale nie wolno mi zaglądać do sypialni pana, nawet przez drzwi. Co nie znaczy, że nie mogę ci pomóc, chłopcze. Pewnie potrzebujesz rady. W moich czasach setki razy brałem kobiety do łóżka. A moim mistrzem był król kochanków, Teach, Edward Teach. Uczyłeś się pewnie historii w szkole, co? Nazywano go Czarnobrodym



i powiem ci, chłopcze, że nikt inny nie wiedział tyle o kobietach...

- Aha. - Zach postanowił ciągnąć tę wyimaginowaną rozmowę. Przynajmniej wypełniała pustkę. Cóż to kogo obchodzi, że jest niespełna rozumu? I tak nikt o tym nie będzie wiedział.

- Nie mówiłem ci jeszcze o tym, chłopcze, ale wtedy mnie powiesili. Oskarżyli mnie o przeróżne zbrodnie i muszę powiedzieć, że byłem winny jak sto diabłów. Ale nigdy nie skrzywdziłem żadnej kobiety, a w miłości naprawdę byłem dobry. I nigdy nie spotkałem kobiety, która nie byłaby warta miłości, chociaż niektóre rzeczywiście lepiej było kochać po ciemku. W tamtych czasach mnóstwo dziewcząt miało zepsute zęby i blizny po ospie...

- Słuchaj, może byśmy porozmawiali później.  
- Zach zapalił światło i skierował się do ośmiokątneho pokoju.

- ...no cóż, tak czy owak, moje zadanie polega na tym, żeby znaleźć prawdziwą miłość dla tych, którzy mieszkają w tym domu. Dlatego nie mamy wyboru. Musimy działać razem, chłopcze, i nie bądź taki zły, bo ja naprawdę mogę bardzo ci pomóc. Zacząłeś dobrze z tym pocałunkiem, ale trudno było nie zauważyć, że dziewczyna przez cały czas miała wszystko na sobie...

- Jeszcze raz spróbuj zajrzeć jej pod ubranie, a przysięgam, że przyprowadzę tu egzorcystę. Słyszałeś mnie? Zostaw ją w spokoju.

Wszedł do pokoju i kopnięciem zatrzaskał za sobą drzwi. Odetchnął głęboko. Nie było tutaj żadnych duchów, nie było zresztą niczego poza jego instrumentami leżącymi na zakurzonej podłodze. Nie zawracał sobie głowy zapalaniem światła, gdyż i bez tego doskonale wiedział, co robi. Pochylił się, otworzył

futerał i wyjął z niego saksofon. W parę sekund założył ustnik. Mógłby to chyba robić przez sen. Wstał, a instrument oparł się o niego swoim ciężarem tak intymnie jak kochanka. Kiedyś byli kochankami, kiedyś tylko poprzez saksofon potrafił wyrazić rzeczy, które coś naprawdę znaczyły. Organy są instrumentem bardziej wszechstronnym, łatwiej przy ich pomocy komponować, nadają się do każdego gatunku muzyki. Inaczej jest z bluesem. Do bluesa saksofon jest wprost stworzony.

Ludziom najczęściej blues kojarzy się ze smutkiem, ale to jest olbrzymie uproszczenie. Zach poświęcił wiele czasu na studiowanie tego problemu. Ta muzyka powstała w czasach niewolnictwa, stworzona przez ludzi, którym nie wolno było porozumiewać się mową, więc wynaleźli inny sposób komunikacji. Jeden instrument woła, a drugi mu odpowiada, bez słów wyraża się łzy, radość, miłość, żal, ból, uniesienie. Zachowi nigdy nie przychodziło łatwo mówienie, zwłaszcza o uczuciach, a saksofon mógł zrobić to za niego, oznajmić to wszystko, czego nie mógł powiedzieć mężczyzna. Zamknął oczy, ujął ustnik wargami i spróbował przemówić.

Próbował tak przez pół godziny, godzinę, ale nic nie nadchodziło. Przecież nie zapomniał, jak się gra, nie stracił nic z technicznej biegłości. Ale same dźwięki i akordy jeszcze nie tworzą muzyki, takiej muzyki, która by cokolwiek znaczyła. Podniósł głowę, wciąż trzymając instrument w rękach. Słyszał coś, kiedy był z Kirstin, albo wydawało mu się, że słyszy. Dźwięki o niespotykanej barwie i fascynującym rytmie, niskie, atłasowe brzmienie pieśni miłosnej, świeże, czyste, mocne akordy, niepodobne do niczego, co grał dotychczas. Przez tę krótką chwilę, kiedy był z Kirstin, słyszał muzykę tak rzeczywistą, że niemal namacalną.

Kiedy Kirstin wyszła, muzyka też zniknęła i nie potrafił przywołać jej z powrotem. Do diabła, może mu się to wydawało? Wymyślił sobie tę muzykę, tak jak i to, że przez moment połączyło go z Kirstin coś niezwykłego. Niecierpliwie wyjął ustnik i włożył z powrotem saksofon do futerału. W pamięci miał obraz szerokich, delikatnych ust i kręconych, brązoworudych włosów. Kirstin kojarzyła mu się z niedzielnymi piknikami, przystrojoną choinką i plackiem z czarnymi jagodami. Kto by przypuszczał, że taki ogień kryje się w drobnej, piegowatej istocie? Skąd mógł wiedzieć, że w jego ramionach ona przemieni się w ładunek wybuchowy z zapalonym lontem? Swoją namiętnością potrafiła sprawić, że mężczyzna czuł się pożądany, potrzebny i stworzony tylko dla niej.

Trzymaj się od niej z daleka, ostrzegało go sumienie. Stał, wpatrując się w ciemność za oknem i myślał o tym, że naprawdę potrzebował takiego ostrzeżenia. Doskonale zdawał sobie teraz sprawę, dlaczego pozwolił jej na to wszystko. Ona myślała o nim jako o kimś dobrym, o kogo warto się troszczyć, a dla człowieka, który zмага się z poczuciem własnej podłości, jest to niewiarygodnie silna trucizna. Przypuszczał, że gdyby poznała prawdę o jego życiu, nie patrzyłaby już na niego z taką czułością. Nie trzeba być geniuszem, by domyślić się, jakie są jej odczucia, jeśli chodzi o rodzinę, o związki między ludźmi, a zwłaszcza o dzieci. Ona nigdy nie zrozumie człowieka, który nie był w stanie zająć się swoim dzieckiem.

Dlatego nie będzie żadnych pocałunków ani uścisków, bo ma zamiar trzymać się od niej z daleka. Postanowił, że od tej chwili nie będzie go w pobliżu, kiedy ona tutaj się pojawi. Oto jedyna gwarancja sukcesu.

Kirstin czuła dreszcz podniecenia, wjeżdżając na podjazd przed domem Zacha. Przyjechała o dwie godziny za wcześnie, ale przecież on nie będzie miał nic przeciwko temu. Tak było najrozsądniej, gdyż co chwila padał śnieg albo deszcz ze śniegiem, a prognoza zapowiadała na wieczór burzę śnieżną. Chciała wrócić do domu, zanim pogoda naprawdę się pogorszy, zwłaszcza że była z nią Mellie, która dzisiaj nie miała lekcji z powodu posiedzenia rady pedagogicznej.

- Jesteśmy, kochanie. - Zahamowała, wyłączyła silnik i pochyliła się, by odpiąć córeczce pas bezpieczeństwa. - Pamiętasz, co ci mówiłam?

- Jasne. Będę cicho jak myszka. Pan Connor wie, że czasami musisz mnie wziąć ze sobą, ale nie możemy mu przeszkadzać.

Mellie była obładowana książkami, pisakami, łożem, dwiema lalkami i butelką z sokiem. Kirstin miała nadzieję, że to wystarczy, by przez cały czas miała zajęcie. Chociaż z drugiej strony mała była wszędobylska jak małpka wypuszczona z klatki.

- Dobrze. A teraz musisz uważać, bo jest ślisko, więc pójdziemy powoli do drzwi, żeby nie poślizgnąć się i nie upaść, dobrze?

Kirstin poczekała, aż Mellie posłusznie kiwnęła głową. Wtedy wypuściła ją z samochodu i obserwowała z westchnieniem, jak jej córka galopuje w stronę wejścia. Zdaje się, że tego dnia nie było sposobu, by powstrzymać rozpierającą ją energię. Sama nie mogła poruszać się tak szybko, miała zbyt dużo rzeczy ze sobą. Wiatr zerwał jej kaptur i lodowaty deszcz siekł ją w głowę, kiedy usiłowała nieść jednocześnie swoją skrzynkę z przyborami, torebkę, szczelnie przykryte naczynie, w którym była zapiekanka z tuńczykiem oraz jeszcze ciepły placek z jagodami. Wyszła z tego

ogromna piramida, która zahusłała się niebezpiecznie, gdy Kirstin pchnęła biodrem drzwi od samochodu.

Jej serce biło jak szalone, ponieważ wciąż myślała o tym, że za chwilę znów ujrzy Zacha. W pamięci miała tamten uścisk, tkwił w niej jak żądło i nie była w stanie o tym zapomnieć. Już wcześniej czuła, że Zach jest samotny i ma jakieś zmartwienie, ale dopiero kiedy otoczył ją ramionami, zrozumiała, jak bardzo mu to doskwiera. Mój Boże, serce biło mu tak mocno. Trzymał ją, jakby była kołem ratunkowym na wzburzonym oceanie, całował tak, jakjeszcze nikt jej nie całował. Gwałtownie, dziko, nawet... brutalnie. Kiedy w końcu ją puścił, czuła się oszołomiona i drżała od stóp do głów.

Przy swoim mężu zawsze czuła się pożądana, ale nigdy tak jak teraz. Nigdy w żadnym mężczyźnie nie rozpałała takiej dzikiej żądy, takiego głodu... Ale sądziła, że tak naprawdę nie chodziło o nią. Kiedy Zach powiedział jej, że jest muzykiem, natychmiast wyobraziła sobie życie składające się z nieustannych podróży, pokojów w motelach, zarwanych nocy w otoczeniu obcych. Straszliwie samotne życie. Nic dziwnego, że Zach tak rozpaczliwie pragnał czułości.

Szła ostrożnie po śliskiej ścieżce, śnieg prószył jej w oczy, a ramiona bolały od niewygodnego ciężaru. Mówiąc szczerze, była trochę przerażona swoim zachowaniem w stosunku do Zacha, ale podejrzewała, że on bardziej od niej wstydzi się tego, co się stało. Najwyraźniej czuł się niepewnie wobec kobiet, dlatego ona musi wyraźnie dać mu do zrozumienia, że sama nie jest zakłopotana. Będzie zachowywała się spokojnie, chłodno i naturalnie. Jak zrównoważona, dojrzała, dorosła kobieta.

- Mellie, kochanie, czy możesz otworzyć drzwi? Mamusia ma zajęte ręce.

- Mamo, ja nie mogę. Upuszczę łosia.

- Dobrze, jakoś sobie poradzę.

„Jakoś” to jest właściwe słowo, pomyślała z ironią. Oczywiście, że tak czy owak dostanie się do środka, nawet jeżeli Zacha nie ma w domu, ona ma przecież klucze. Ale żeby chociaż poruszyć klamką, trzeba mieć wolną rękę. Spróbowała przytrzymać brodą czubek piramidy i wyglądało na to, że pomysł jest dobry, chociaż placek z jagodami ślizgał się po szklanej pokrywie naczynia z zapiekanką. Ostrożnie pochyliła się i po omacku sięgnęła do klamki.

Drzwi otworzyły się szeroko, a ona potknęła się, a wtedy szklane naczynie ześlizgnęło się, placek... och Boże, placek pofrunął i wylądował na białym swetrze Zacha, który widocznie usłyszał ich kroki na ganku.

- Cześć. Pan mnie pamięta, prawda? Jestem Mellie i będę dzisiaj zachowywała się cichutko.

Kirstin poczuła się jak bohaterka horroru, słysząc niewinny, radosny głosik Mellie i widząc przerażenie w oczach Zacha.

- O, Boże, Boże - mamrotała, stawiając bagaż na podłodze. Widziała, że instynktownie zdążył uchwycić ciasto, ale chociaż było pieczołowicie zawinięte w aluminiową folię, rozleciało się i obryzgało go jagodami.

- Co ja zrobiłam, tak mi przykro. Chyba umrę. - Miała czyste ściereczki gdzieś przy sobie. Przecież zawsze miała ściereczki, tylko, do diabła, gdzie? - Pomyślałam sobie, że może miałbyś ochotę na domowe przysmaki. Pogoda zrobiła się taka okropna, więc dlatego przyjechałyśmy wcześniej. Dobry Boże, nigdy nie uda mi się wywabić plam po jagodach z tego białego swetra...

- Znalazła wreszcie szmatkę i zaczęła jak szalona trzeć granatowe ślady na jego swetrze. Część jagodowej masy skapywała z brzegu swetra na dżinsy. Sięgnęła

nizej. - Dobij mnie, dobrze? Inaczej nigdy sobie nie daruję...

- Słuchaj, Kirstin...

- Raz, chociaż raz w życiu chciałabym czegoś nie popsuć. Wszystko tu posprzątam, nie musisz o nic się troszczyć...

- Kirstin.

Coś w jego głosie sprawiło, że popatrzyła w górę. Wyraz jego twarzy sprawił, że natychmiast spojrzała w dół, na miejsce, które właśnie pocierała ściereczką. Było to zapięcie jego spodni. Ścierka wypadła jej z ręki, a policzki zalał palący rumieniec.

- Och, Boże. Ja nie chciałam... ja...

- Wiem. Uspokój się już, dobrze? Wszystko w porządku, nie ma czym się przejmować.

Nigdy jeszcze nie widziała, żeby się śmiał. Może nie chciał pokazać, jak bawi go ta sytuacja, ale mimo wszystko uśmiech zmienił mu twarz, złagodził bruzdy w okolicach oczu. Ciekawe, kiedy ostatni raz zachowywał się jak psotny chłopak? To, czy jest przystojny, nie miało wcześniej dla niej znaczenia, ale w tej chwili patrzyła na niego i przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Daj mi ten placek. Bóg jeden wie, w jakim jest teraz stanie, ale zaniosę go do kuchni i...

- Słuchaj, Kirstin, nie obraź się, ale chyba będzie lepiej, jeżeli ja go zaniosę.

- Oj mamó, pan chyba nie żartuje - wtrąciła się Mellie.

Chyba wtedy właśnie Zach po raz pierwszy tak naprawdę zauważył Mellie. Kirstin patrzyła, jak odwracał głowę w jej stronę. Nie zapomniała jeszcze o swoim zakłopotaniu z powodu bałaganu, jakiego narobiła, ale po raz drugi musiała wstrzymać oddech.

Wyraz twarzy Zacha zmienił się, zniknął chłopięcy uśmiech i szczęki zacisnęły się mocniej. Oczy pociemniały mu od niemal bolesnej czułości, lecz za moment jego twarz znowu przypominała kamienną maskę.

- Powiniennem był wiedzieć, że to się nie uda - mruknął do siebie. - Kirstin, czy moglibyśmy porozmawiać chwilę w kuchni? - spytał.

- O co chodzi? - Wzięła zapiekankę i poszła za nim, zmieszana i zaniepokojona nagłą zmianą jego nastroju.

- O ciebie, o tę całą naszą umowę. Ja... - Położył ciasto na stole i czekał, aż Kirstin postawi naczynie z zapiekanką. W kuchni było ciemnowo i nie widziała dokładnie wyrazu jego twarzy, ale czuła, że szuka właściwych słów. - Przedtem jakoś nie dotarło do mnie, że to nie w porządku w stosunku do ciebie. Przecież ty opiekujesz się domami, a nie sprzątasz. Ja naprawdę nie uważam, że to praca tylko dla kobiet, i jestem w stanie umyć własną podłogę. Pomyślałem, że może wolałabyś odwołać to wszystko.

Ta nagła troska o nią była bardzo miła, ale Kirstin mogłaby założyć się o ostatnie pieniądze, że chodzi tu o coś więcej.

- No cóż, to prawda, że zwykle nie sprzątam domów, których doglądam - powiedziała powoli, obserwując go. - Głównie sprawdzam, czy nic złego nie dzieje się w nich podczas nieobecności właścicieli, naprawiam, gdy coś się zepsuje, i tym podobne rzeczy.

- Tak właśnie myślałem...

- Ale przecież ja sama zaproponowałam, że będę u ciebie sprzątała, pamiętasz? - przerwała mu spokojnie. - Ten dom ogromnie mi się podoba, zawsze miałam bzika na jego punkcie. Kiedy go sprzątam, to czuję, jakbym na nowo przywracała mu życie. W doda-



tku jest taki wielki, że nie dałbyś rady zrobić wszystkiego sam. W końcu masz tu być tylko przez miesiąc.

Widziała, że zaczął się wahać. Nie próbował zaprzeczać, że potrzebuje pomocy, a więc tak naprawdę nie o to mu chodziło. To musi mieć związek z Mellie, pomyślała. Zawsze kiedy na nią patrzył, był jakiś zmieniony.

- Czy przeszkadza ci, że w pobliżu kręcą się dzieci? - spytała cicho. - Na początku powiedziałaś, że od czasu do czasu mogę wziąć Mellie. Zwykle mój ojciec jest w domu, kiedy ona wraca ze szkoły. Jeśli dla ciebie stanowi to problem...

- Oczywiście, że możesz ją przyprowadzać. Nie ma sprawy.

- Aha, no cóż, rozumiem, że zdenerwowałaś się z powodu tego placka. Ale przysięgam, już więcej nie będę rzucać w ciebie żadnym ciastem... - Miała nadzieję, że on znów się uśmiechnie, ale tak się nie stało. Wyglądało na to, że nie powie jej, co go dręczy. Nie znali się na tyle, by chciał jej zaufać, jeszcze nie teraz. - No dobrze. Muszę zabrać się do pracy. Przyniosłam resztę z tych pieniędzy, które dałeś mi ostatnim razem i zostawię je potem na stole w kuchni. Nie musisz się obawiać, że nie będziesz miał tutaj spokoju. To duży dom, nie będziesz nawet wiedział, czy tu jesteśmy.

Nie będzie wiedział, czy ona tu jest? Świetny dowcip. Deszcz ze śniegiem walił w okno biblioteki. Co za psia pogoda. Najlepsze, co mógł teraz zrobić, to znaleźć sobie jakąś kryjówkę. Ponieważ Kirstin i dziewczynka poszły na górę, biblioteka wydała mu się w miarę bezpiecznym schronieniem.

Nacisnął spray do mycia szyb. Po raz pierwszy

w życiu mył okna. Już po chwili bolały go ramiona, szczypały palce, a w skroniach czuł bolesne pulsowanie, spowodowane niewyspaniem. Ale przecież teraz nie mógłby spać, nie w chwili, kiedy ona jest pod tym dachem. Poza tym był wychowany w przekonaniu, że mężczyzna nie może siedzieć i nic nie robić, kiedy kobieta krząta się wokoło. Wziął kawałek papierowego ręcznika i zaczął wycierać szybę.

Niestety, im dłużej to robił, tym więcej myślał o Kirstin, o tym, jak próbowała zetrzeć plamy z jagód z jego džinsów. O mało nie roześmiał się, widząc jej przerażony wzrok, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że jest podniecony. To była automatyczna, czysto biologiczna reakcja na pocieranie, na pewno później to zrozumiała. Tylko on nie mógł zrozumieć, dlaczego wciąż jeszcze trwa.

A może ona pojawiała się w tym domu po to, żeby doprowadzić go do szaleństwa? Niczego już nie pragnął od życia oprócz spokoju i ciszy, a spotkał ducha i ją. Zwłaszcza ją. Sprawiała, że się uśmiechał, że znów czuł się żywy. Nie potrafił tego zrozumieć. Na Boga, przecież ona ma piegi, jest kompletną niezdara, najbardziej denerwującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, a kolory jej ubrań przyprawiają o oczopląs. Dlaczego więc nie mógł przestać o niej myśleć?

Podniósł głowę, słysząc jakiś daleki, przytłumiony dźwięk. Co znowu? Ledwo było słyhać, ale to przypominało odgłos, jakby mysz przebiegła po klawiaturze jego organów. Zdumiony otworzył drzwi, przeszedł przez hol i udał się w kierunku pokoju, w którym zostawił swoje instrumenty. Nacisnął kłamkę, zajrzał do środka i... stanął jak wryty. Przez blisko pół godziny Mellie była na górze z Kirstin, lecz najwidoczniej zniknęła matce z oczu. Siedziała sobie na podłodze

wśród rozsypanych wokoło nut, stroików i zapisków. Otworzyła futerał z saksofonem, a teraz najwyraźniej odkryła, jak włącza się organy. Mały wirtuoz miał na sobie fioletowe skarpety i różową bluzę, całą upstrzoną fioletowymi kłaczkami. Czarne, kędzierzawe włosy sterczały jej na wszystkie strony jak u stracha na wróble.

Cierpiał, kiedy na nią patrzył. Cierpiał, jakby ktoś wbijał mu w serce zardzewiały nóż. To oczywiście przypadek, że miała czarne, kręcone włosy, tak jak on, niebieskie oczy, takie jak jego. Świadomość, że to podobieństwo jest jedynie ironią losu, wcale mu nie pomagała. Kiedy na nią patrzył, wyobrażał sobie swoją córkę, której nigdy w życiu nie widział. Dlatego nie chciał na nią patrzeć, nie chciał nawet być w tym samym pokoju. Nie miał nic przeciwko tej małej, po prostu wolał trzymać się z daleka. Spróbował zniknąć jak najszybciej, ale ona nagle podniosła te wesołe błękitne oczy i zobaczyła go w progu.

- O rany. Nie powinnam dotykać tego bez pytania, tak?

- Tak.

- Mama chyba niczego nie słyszała. Ona jest teraz na górze, po drugiej stronie schodów. Ale zabije mnie, jak pan jej powie, że grzebałam w pana rzeczach - wyznała żałośnie.

- Nic nie wspominałem, że powiem twojej mamie.

- Och, jak to dobrze. Ona powtarzała mi chyba ze sto milionów razy, żebym nigdy nie ruszała niczego bez pytania. Ale czasami nie mogę się oprzeć. Jestem tak ciekawa, że nie mogę wytrzymać. Nie jest pan na mnie wściekły, prawda?

- Nie - odpowiedział krótko. Pochylił się i zaczął zbierać porozrzucane stroiki.

- Te wszystkie rzeczy do muzyki to pana?

- Tak.

- Obie? To małe pianino i to złote?

- To złote nazywa się saksofon. Zgadza się, obie są moje.

- Przez całe życie, przez moje całutkie życie chciałam umieć grać - oznajmiła z powagą. Zach nic nie powiedział, więc spróbowała jeszcze raz. - A pan umie grać?

- Umiem.

- Mógłby pan zagrać coś dla mnie?

Chyba piekło podszeptało jej to pytanie, pomyślał. Nie dalej niż dziś rano przyrzekł sobie, że od tej chwili będzie się trzymał z daleka od swoich instrumentów, bo wszystkie dotychczasowe próby były tylko samotorturowaniem się. Zdaje się, że obie panie Grams miały jakąś instynktowną zdolność sypiania soli na jego otwarte rany. Córka nie dorównywała w tym jeszcze matce, ale była na najlepszej drodze.

- Proszę, niech pan się zgodzi - naciskała Mellie. W mgnieniu oka podbiegła i z ufnością chwyciła go za ręce. - Nic nie szkodzi, jeśli pan nie umie grać za dobrze. Ja też nie umiem. Zna pan tę kolędę o tym, że wszystko śpi i tak dalej? Wszyscy ją znają. Może pan zagrać coś prostego, jak to.

Nie chciał, żeby go dotykała. Chciał krzyknąć na nią, że ma trzymać się od niego z daleka, zostawić go w spokoju i że nie będzie dla niej grał. Ale przecież nie może skrzywdzić dziecka, prędzej połknąłby truciznę, a na dodatek te błękitne oczy patrzyły na niego tak błagalnie.

- Mam taką propozycję - powiedział burkliwie. - Zagram ci jedną piosenkę i na tym koniec. Potem z powrotem schowamy instrumenty. Wolno ci bawić

się w całym domu, we wszystkich pokojach, ale w tym nie. To będzie nasza umowa.

- Zgadzam się - zapewniła go Mellie. - Już więcej nie będę pana prosić o granie. Jeżeli nie, to niech umrę, niech mnie zjedzą szczury albo niech pani Melroy każe mi zostać za karę po lekcjach do końca życia.

- To robi wrażenie. Ale proszę cię tylko, żebyś dotrzymała warunków umowy.

- Jasne.

Zbyt późno odkrył, że nie zadbał o uzgodnienie różnych niuansów tego kontraktu. Gdy tylko usiadł na podłodze, ta łobuzica uznała za oczywiste, że on bardzo chce, żeby siedziała mu na kolanach. Usadowiła się tam, uśmiechając się od ucha do ucha, tak samo irytująco zadowolona z byle czego jak jej matka. Była ciepła jak piec, nie mogłaby pewnie usiedzieć spokojnie, nawet gdyby od tego zależało jej życie, i na dodatek okazało się, że jest bezwzględna oszustką. Zagrał jej melodię o Świętym Mikołaju, a ona zaraz bezlitośnie poprosiła o następną. Zagrał dziecinną piosenkę, a ona błagała o jeszcze jedną. Skąd u siedmioletniego dziecka z tłustymi rączkami takie uwodzicielskie oczy? Nie miał siły odmówić zagrania trzeciej melodii i wtedy nagle zobaczył, że w drzwiach stoi Kirstin. Założyła ręce na piersi, głowę oparła o framugę, a we wzroku miała czułość i ciepło, gdy patrzyła tak na nich. Mellie też ją zauważyła.

- Cześć, mamusiu.

- Cześć, kochanie. Przecież ci mówiłam, że nie wolno przeszkadzać panu Connorowi.

- On ma na imię Zach, mamó. Mówi, że ma już powyżej uszu mówienia o nim „pan Connor”. I bardzo mnie lubi. Wcale mu nie przeszkadzałam, możesz go zapytać.

Zach już otwierał usta, ale Kirstin szybko przyrzekła mu, że od tej chwili będzie miał zupełny spokój i ciszę, a potem zabrała dziecko na górę. Wierzył jej. Uznał, że Bóg nie może już dzisiaj bardziej go doświadczyć, że wyczerpał się limit nieszczęść. Nic więcej się nie stanie, był tego pewien. I rzeczywiście, było cicho i spokojnie - przez całe pół godziny.

Potem usłyszał głośny i pełen przerażenia krzyk dobiegający z góry.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kirstin w ogóle nie przeczuwała katastrofy. Zdażyła wysprzątać dwa pokoje na górze i uznała, że pora wracać do domu. Pogoda pogarszała się szybko. Wiatr gwizdał niesamowicie w szparach okien i słychać było grzmiące uderzenia fal o przybrzeżne skały. Niespodziewanie Mellie zapadła w drzemkę, więc najwyższy czas, żeby obudzić ją i zabrać do domu, zanim droga stanie się śliska od śniegu.

Poszła najpierw umyć ręce. Jak wszystkie inne pomieszczenia w tym domu, również łazienka miała swój niepowtarzalny urok. Przy toalecie wisiał staroświecki łańcuszek, umywalka miała oddzielne kurki dla zimnej i gorącej wody, wykończone białą porcelaną. Był tu też bidet. Całość była mocno podniszczona, ale Kirstin miała nadzieję, że ktoś, kto będzie ją przerabiał, nie zmieni zasadniczego charakteru pomieszczenia. Sama wanna była chyba zabytkiem - wolno stojąca, na nóżkach w kształcie łap zakończonych pazurami i tak wielka, że można by w niej pływać.

Podeszła do niej, wycierając ręcznikiem ręce. Nad wanną umocowany był prysznic otoczony mosiężnym kołem, na którym wisiała zasłonka. Przyglądała się temu urządzeniu, myśląc, że chyba pochodzi z przełomu wieków. Wtedy właśnie - nie wiadomo dlaczego, przecież niczego nie dotykała - z prysznica trysnęła woda, oblewając jej głowę i ramiona zimnym, obfitym

strumieniem. Krzyknęła przerażona, odskoczyła i po omacku zaczęła szukać kranu. Za moment woda już była zakręcona, ale i tak jej bluza i włosy były całkiem mokre. Trzęsąc się z zimna, sięgnęła po ręcznik.

- Na miłość boską, co tym razem zrobiłaś?

Odwróciła się, słysząc głos Zacha.

- Nie wiem! Przysięgam, że woda sama zaczęła lecieć, ja nawet nie zbliżyłam się do kranu. Zupełnie tego nie rozumiem. Ja...

- Dobry Boże. - Dopiero w tej chwili zobaczył, że jest mokra. - Poczekaj, nie ruszaj się. Przez pięć sekund spróbuj niczego nie dotykać, dobrze? Po prostu... poczekaj.

Zaraz przybiegł z powrotem, z ręcznikiem kąpielowym, zarzucił go jej na głowę i zaczął wycierać.

- Ja nie odkręciłam wody - powtarzała uparcie.

- Wierzę, że nie.

- Naprawdę nie odkręciłam.

- Kirstin, ja ci wierzę.

- Przyniosę narzędzia i przed wyjściem sprawdzę, co tu się stało. Naprawiałam już różne hydrauliczne urządzenia, ale muszę przyznać, że z czymś takim nie miałam jeszcze do czynienia.

Zdjął jej ręcznik z głowy i przyjrzał się dziewczynie krytycznie.

- Boże, ale ty wyglądasz! Czy ktoś ci już mówił, że jesteś chodzącym nieszczęściem?

- Uhhh...

Na wpół bezwiednie dotknęła ręką włosów. Domyślała się, jak wygląda. Ociekająca jeszcze wodą bluza przylepiała się tu i ówdzie do ciała. Włosy już przedtem przypominały pęk korkociągów, teraz, po tym wycieraniu, sterczały na wszystkie strony. No i dyskretny makijaż oczywiście nie przetrwał potopu. Z tonu



Zacha wnioskowała, że jest zirytowany. Bóg wie, że dała mu dzisiaj niejeden powód do gniewu. Kiedy jednak przesunął wzrokiem wzdłuż jej ciała, nie potrafił powstrzymać śmiechu. Urwał i gestem, który już znała, przesunął dłonią po włosach.

- Co ja mam z tobą zrobić? - szepnął.

- No cóż, jak już zrzucisz mnie ze skał prosto do oceanu, o co zresztą nie będę miała pretensji, bo wiem, że kilka razy doprowadziłam cię dziś do furii, będę wdzięczna za pożyczenie mi czegoś suchego do przebrania. Wszystko jedno, co to będzie.

- Znajdę coś. Chodź ze mną, zanim przeziębisz się na śmierć. Przebierzesz się w moim pokoju.

- Lepiej zostanę, nie chcę przy okazji zamoczyć wszystkiego po drodze - odparła, potrząsając głową.

- Tutaj się przebiorę.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Ot tak, dla zabawy spróbuj zachowywać się tak, jakby w tym domu był duch. I do tego duch-podglądacz i rozpustnik. Będąc w tym domu, musisz mieć na sobie ubranie, chyba że jesteś w moim pokoju.

- Duch? - Uśmiechnęła się.

- To głupie, co? Chodź, już dzwoniś zębami.

Rzeczywiście była przemarznięta, ale zapomniała o zimnie i poszła posłusznie, rzucając na Zacha ukradkowe spojrzenia. Ten żart o duchu oczarował ją, a i trochę wzruszył. Nie miała nic przeciwko pójściu do jego pokoju. Mellie była na tym samym piętrze, a zresztą i tak nie obawiała się, że Zach mógłby ją napastować. Przecież był tak nieśmiały, że musiał wymyślać bajeczki o duchach, żeby zechciała pójść do jego pokoju. Kiedy już znaleźli się w środku, Zach zerknął za siebie i zamknął drzwi.

- Sprawdziłaś, czy nie szedł za nami duch?

- Czy słyszałaś kiedyś o manach? Rzymianie tak nazywali duchy, które przebywały na ziemi i wtrącały się w życie ludzi. Plutarch wierzył w many. Tak samo Homer i Liwiusz. Zdejmij tę moką bluzę, ja nie patrzę. - Odwrócił się i zaczął gwałtownie otwierać szuflady komody. Wyjął gruby sweter i podał go jej przez ramię, nie oglądając się za siebie.

- Domyślałam się, że ostatnio dużo czytałaś o duchach.

- Znalazłem tutaj trochę starych książek. Musiałem coś robić dla zabicia czasu.

- A więc opowiedz mi coś jeszcze. - Mokra ubranie oblepiało jej ciało, kiedy je zdejmowała. Stanik również był przemoczony, więc też go zdjęła. Przez cały czas patrzyła na Zacha, ale on ani drgnął. Nie odwróci się, pomyślała. To dżentelmen w każdym calu, nigdy nie wykorzysta swojej przewagi.

- Są dwa rodzaje manów. Lary - duchy ludzi, którzy żyli uczciwie, i lemury, czyli duchy ciemnych typów, kryminalistów. I one musiały błąkać się po ziemi, nie zaznając odpoczynku, dopóki nie naprawią zła, które popełniły za życia.

- Aha.

Tak naprawdę słuchała go niezbyt uważnie. Nie dlatego, że nie podobał jej się ten wykład o duchach - uwielbiała tego rodzaju opowieści - ale rozpraszała ją świadomość, że stoi półnaga w jego obecności. On chyba czuł się podobnie, bo widziała, że jego ciało napięło się, kiedy sięgnęła po sweter zwisający z jego ramienia. Włożyła go przez głowę, a gruba wełna otuliła ją swoim ciepłem. Jednak drżała nadal, choć teraz już inaczej. Czuła jego zapach, który przylgnął do materiału. Kiedy sweter otulił jej nagie piersi, wyob-

raziła sobie, że czuje dotyk mężczyzny, jego dotyk. Widok zgniecionej pościeli sprawił, że wyobraziła go sobie nagiego w tym łóżku, wyciągającego w ciemności ramiona do kochanki. Wyciągającego ramiona... do niej.

Przystań, powiedziała do siebie w myśli. Była świadoma tego, że większość mężczyzn traktowała ją raczej jako koleżankę, a nie jako obiekt flirtów. Do wizerunku femme fatale nie pasowały piegi i pospolita twarz, a mężczyźni, patrząc na nią, nie myśleli o seksie. Zaoferowała Zachowi przyjaźń i było to szczere z jej strony, ale mimo wszystko czuła dziwne, nieznanne pulsowanie w całym ciele.

- Skończyłaś?

- Co? Och, tak, przepraszam. Możesz już się odwrócić. - Przesunęła palcami po włosach.

Zach okręcił się na pięcie i ich oczy na moment się spotkały. Na dworze panowała paskudna listopadowa pogoda, marznący deszcz ze śniegiem uderzał o szyby drzwi balkonowych, ale nie było przecież żadnych błyskawic. To była czysta głupota z jej strony, wyobrażać sobie odbicie jakichś błyskawic w jego oczach.

- Dwie takie jak ty zmieściłyby się w tym swetrze - zauważył sucho.

- Ale przynajmniej jest obszerny i ciepły. Dzięki.

Czuła, że jest zdenerwowany. Ruszył do drzwi, jakby ogromnie mu się spieszyło, jakby chciał udowodnić jej, że nie miał żadnych ukrytych zamiarów. Ale przecież ona wcale tego się nie bała.

- A gdzie jest Mellie? - Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie było w pobliżu małej.

- Zasnęła. Zwinęła się w kłębek w starym fotelu i smacznie śpi. Powinam już wziąć ją do domu, ale skoro usnęła, to mogę rzucić okiem na te krany. Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie tego, że kurek sam

się odkręcił. Jestem przekonana, że to nie była sprawka żadnego z twoich rzymskich duchów - powiedziała śmiejąc się.

- Nie, nie, ja to potem sam sprawdzę. Dziś przecież zrobiłaś tak wiele, a jest późno...

Rzeczywiście zrobiło się późno. Ruszyła do drzwi i chciała tylko przejść obok niego, nic więcej. To był najzwyczajniejszy przypadek, że ręką niechcący zawadziła o jego rękaw. Na pewno też przypadek sprawił, że ich oczy znów się spotkały. Wcale nie miała zamiaru go pocałować, poprzednim razem wyraźnie widziała, że poczuł się niezręcznie. Ale znów miał głęboki smutek w oczach, które jeszcze przed chwilą lśniły uśmiechem, więc pomyślała, że dobrze mu zrobi, gdy nabierze pewności, że ktoś troszczy się o niego.

Wspięła się na palce i musnęła wargami jego policzek. Nic więcej. Nie spodziewała się też niczego więcej i już prawie odwracała się od niego, kiedy nagle... zareagował. Chwycił ją za ramiona i w mgnieniu oka znalazła się w jego objęciach. Jego usta znalazły jej wargi i wpiły się w nie z bolesnym naciskiem. Było tak jak poprzednim razem - całował ją, jakby nie chciał, ale jakby musiał. Serce Kirstin dziko waliło w piersi, w ustach czuła język Zacha, jego smak. Był to smak samotności i tęsknoty, tkwiący w tym mężczyźnie głęboko i o wiele za długo. Całował ją, jakby był zgubiony, jakby gonił za nim jakiś potwór i dopadłby go, gdyby tylko przestał się pilnować. Kirstin oplótła go rękami w pasie - jak gdyby pragnęła go przekonać, że nie musi być taki twardy, taki szorstki, że ona nie pozwoli, żeby ten potwór go dogonił. Chciała go uspokoić, wyrazić to, że go rozumie. To prawda, że go nie zna, może nie wie też za dużo o świecie, ale dobrze zna samotność. Każdy, nawet najtwardszy człowiek, czasem potrzebuje czyjegoś ciepła i pocieszenia.

Wydawało się, że jej starania przynoszą rezultat. Oderwał się od jej ust i zaczął składać pocałunki na policzkach Kirstin i na szyi. Już nie był szorstki, natarczywy. Po prostu... nie przestawał jej całować. Szorstka broda łaskotała jej delikatną skórę i rozpaliała rozchodzące się po całym ciele gorące iskry. Dotknął szyi ciepłym, wilgotnym czubkiem języka, a jej zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Zach oparł się o ścianę, przyciągnął ją do siebie, a jego dłonie wpełzły pod bluzę i dotarły do nagiej skóry. Wyszeptał coś niedosłyszalnie, niezrozumiale, a potem znów sięgnął do jej ust.

Poczuła się oszołomiona. Pocałunki zawsze sprawiały, że czuła miłe ciepło. Uwielbiała całować Alana. Kochała Alana. Ale nie pamiętała, by kiedykolwiek poczuła taki nagły przypływ podniecenia, takie niespokojne, dzikie uczucie. Zach wciąż ją całował i jednocześnie objął dłonią jej pierś. Oblały ją na przemian fale gorąca i zimna. Zach delikatnie drażnił czubek piersi, aż stał się twardy i obrzmiały. Kirstin czuła ból rozchodzący się po całym ciele. Ona też dotykała Zacha, wszędzie, gdzie mogła sięgnąć. Jej ręce po omacku głaskały, odkrywały jego ciało, uczyły się go. Wargi bezbłędnie odnajdywały się w ciemności. Zach przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej, aż jej puls zaczął galopować, a serce próbowało wyskoczyć z piersi. Czuła swoim ciałem, jak silnie jest podniecony, i przestraszyła się, że może chodzić mu o coś więcej. Nie miała nikogo od śmierci Alana, a także nigdy nie było w jej życiu mężczyzny podobnego do Zacha. Były tysiące powodów, dla których należało być ostrożną, znała je, pamiętała o nich. Tyle że nie miały one takiej siły jak to, co ciągnęło ją do tego mężczyzny.

Nigdy nie zawiódł jej kobiecy instynkt. Tym razem też czuła, że wszystko ułoży się dobrze, wierzyło w to

jej serce. Pocałunki Zacha, dotyk, uczucia, jakie między nimi się zrodziły, to wszystko tworzyło jakąś pieśń brzmiącą w jej uszach. Muzykę. Odnosiła wrażenie, że on jest rytmem, a ona harmonią, że są ze sobą ze-strojeni tak, jakby nikt i nic na świecie nie istniało. Znała go już dobrze. Jakoś, w niewiadomy sposób, wiedziała, że on jest miłością jej serca. Zagubionym kawałkiem układanki, który odnalazła, i teraz wszystko zacznie do siebie pasować.

- Mamusiu!

Głos Mellie dobiegł z odległego pokoju. Oboje drgnęli nerwowo i potrzebowali kilku sekund, żeby zorientować się, gdzie się znajdują. Nie chodziło o to, że wciąż stoją oparci o ścianę w jego sypialni, tylko raczej o to, jaki to dom, miasto, planeta. Krew wciąż szybko tętniła w ich żyłach, oblewała gorącem. Kirstin wcale nie poczuła się jak przyłapaną na czymś zdrotnym. Ramiona Zacha wydawały jej się najwłaściwszym schronieniem.

- Mamo?

- Już biegnę, skarbie. Jestem tutaj, niedaleko. Wszystko dobrze, po prostu na chwilę zasnął. - Kirstin przemawiała głosem łagodnym, uspokajającym. Najwyraźniej podziałał on na Mellie, ale nie na Zacha. Czowała, jak raptownie pociągnął w dół jej bluzę, że ma urywany oddech, że każdy mięsień w jego ciele stęzał na kamień. W oczach zaś miał takie poczucie winy, jakby właśnie popełnił najniegodziwszą ze zbrodni.

- Kirstin... ja nie miałem zamiaru, żeby coś takiego się stało...

To zabolalo. Poczowała się upokorzona, bo wyobraziła sobie jakąś melodię miłości, która naprawdę nigdy nie istniała. Próbowwała udawać, że nic się nie stało, uśmiechnąć się promiennie, ale wyszło to dość kiepsko.

- Wszystko w porządku. Ja tylko myślałam... czułam, że... wtedy też, za pierwszym razem... że ty chyba nie zdawałeś sobie sprawy, że to jestem ja.

- Co takiego?

W oczach Zacha błyszczało coś dziwnego... Nie, naprawdę jest kompletną idiotką, skoro wierzy, że to z jej powodu. Przecież jest po prostu... taką sobie Kirstin. Całą w piegach, bez biustu, zupełnie zwyczajną dziewczyną. Tak, Alan ją kochał, ale nigdy nie oszukiwała się, że należy do tych kobiet, które są zdolne obudzić w mężczyźnie dziką, gwałtowną namiętność.

- Rozumiem, że czułeś się samotny. Wszystko rozumiem. No cóż... pewnie wyobrażałeś sobie, że to ktoś inny.

- Nie wiem, skąd ten pomysł, ale jedyną kobietą, o której myślałem, byłaś ty. - Zach wyglądał na zakłopotanego tym, co powiedziała. - Ja... ja wykorzystałem tę sytuację, wykorzystałem cię i nic mnie nie usprawiedliwia.

- Wcale mnie nie wykorzystałeś - zaprzeczyła.

- Nic nie wiesz, nie znasz mnie wcale. Jestem bezrobotnym muzykiem, bez przyszłości. Nie wiesz, co zrobiłem, w jakich miejscach przebywałem...

Przerwał, bo w drzwiach ukazała się zaspana Mellie, z potarganymi włosami, trzymająca w objęciach swojego ukochanego łosia.

- Hej, mamusiu. A dlaczego tak tu stoicie po ciemku?

Podeszła bliżej i Kirstin chwyciła ją w ramiona, patrząc na Zacha bezradnie. Chwilami przypominał jej opuszczoną latarnię morską na wybrzeżu. Kiedy patrzył na Mellie, a bywały momenty, że i na nią, w jego oczach pojawiała się cała gama trudnych do rozszyf-

rowania uczuć. Ale teraz latarnia zgasła i jego spojrzenie stało się wyblakłe i puste.

- Mamusiu...

- Tak, wiem, kochanie, jest późno i już jedziemy do domu. - Mellie wierciła się niespokojnie i pewnie już była głodna. Najwyższy czas, żeby obie znalazły się w domu. - Porozmawiamy, jak wrócę - powiedziała do Zacha niepewnym głosem.

Skinał głową i odsunął się od nich.

- Nie musisz się martwić, że coś takiego może się stać znowu. Przysięgam, że to się nie powtórzy.

W ogóle tym się nie przejmowała. To on ją martwił. Nie była pewna jego uczuć, ale miała pewność co do jednej rzeczy - nie powinien zostać sam. Ale co mogła zrobić w tej sytuacji?

Drzwi wejściowe zamknęły się i Zach mógł wydać długo powstrzymywane westchnienie. Spojrzał przez okno. Jej samochód zapalał z trudnością, krztusząc się, ale w końcu ruszył. Padał deszcz ze śniegiem i temperatura wciąż spadała, ale mimo wszystko jazda była względnie bezpieczna. Gdyby na szosie był lód, nie pozwoliłby jej jechać, ale Bóg jeden wie, czy by sobie wtedy poradził z sytuacją. Zdjął kurtkę z wieszaka i wkładał właśnie ręce w rękawy, kiedy poczuł zimny powiew przeciągu.

- A teraz, chłopcze...

Boże, tylko nie to. Nie w tej chwili.

- Czy to ty uruchomiłeś prysznic? To twoja sprawka?

Jock najwyraźniej nie chciał od razu odpowiedzieć. Udawał, że coś mu utkwilo w gardle i ma trudności z mówieniem.

- Wyglądało mi to na dobry pomysł, żebyś mógł zobaczyć ją bez paru fatałaszków. Działałeś strasz-



nie powoli, chłopcze, i pomyślałem, że trzeba cię trochę popędzić. Ta dama wcale nie wydawała się urażona i nie możesz zaprzeczyć, że plan raczej się powiódł.

- Do diabła.

Zach zatrzasnął za sobą drzwi i od razu w policzki uderzył go marznący deszcz, a płuca zaatakowało lodowate powietrze. Nie miał ani rękawiczek, ani czapki, ale było mu wszystko jedno. Szedł w stronę morskiego brzegu. Skały były lśniące i śliskie, słony wiatr przejmująco zimny. Od razu przemarzył do szpiku kości, ale właśnie o to mu chodziło. Mocniej zacisnął szczęki, gdy znów w pamięci pojawiło się ciepłe ciało Kirstin, jej łagodne oczy, pełne czułości pocałunki...

Mógł ją mieć, ba - już prawie ją miał. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety w całym swoim życiu. Nie chodziło tu tylko o seks. Jej skrupowanie, niebezpiecznie czułe pocałunki i otwartość, z jaką okazywała swoje uczucia... nie chciał, żeby dzieliła to z jakimś innym mężczyzną, chciał mieć wszystko tylko dla siebie. Przez kilka szalonych chwil naprawdę wierzył, że ten cały cholerny świat byłby inny, gdyby tylko mógł ją mieć.

Zawsze był egoistą - sięgał po to, na co miał akurat ochotę. Ale nie chciał być taki w stosunku do Kirstin. Buty ślizgały mu się na oblodzonych gładkach, ale wciąż szedł dalej, zmuszając się do wspomnienia chwil spędzonych z Sylvie. Te dwie kobiety różniły się od siebie jak dzień i noc, ale przeszłość nieubłaganie przypominała mu, dlaczego nie może zbliżyć się do Kirstin.

Sylvie odszukała go, żeby oznajmić, że jest z nim w ciąży. Powiedziała mu wprost, że nie chodzi jej o ślub, chce tylko dostać pieniądze, sto tysięcy dola-

rów. Jej zdaniem, dla niego to była nic nie znacząca suma. Wyglądało na to, że przypuszcza również, iż dziecko też nic dla niego nie będzie znaczyło, gdyż przyrzekła, że nie będzie miał z nim nigdy do czynienia. Dziecko miało należeć tylko do niej, ale żądała pieniędzy, by móc właściwie je wychować.

Zach był wstrząśnięty jej postawą, tą całą sceną. Musiałby być szalony, żeby od razu, ot, tak sobie, wystawić jej czek. Nie miał żadnego powodu, by sądzić, że dziecko jest na pewno jego - oprócz jej słów, słów kobiety, która ugania się za muzykami, której on prawie nie zna i w postępowaniu której raczej wyczuwa się wyrachowanie, a nie uczucia macierzyńskie. Odpowiedział jej stanowczo, że w takim razie ma prawo wpływać na wychowanie swojego dziecka i że nie zrobi nic, dopóki nie poradzi się adwokata. To były ostatnie zwyczajne słowa, jakie zamienili. Sylvie straciła panowanie nad sobą i zaczęła wrzeszczeć, że jako nieślubny ojciec nie ma żadnych praw do jej dziecka i nigdy nie będzie ich miał. Twierdziła, że popełnił wielki błąd, próbując z nią dyskutować, bo teraz ona gwarantuje mu, że nigdy tego dziecka nie ujrzy. I zniknęła.

Potem Zach przypomniał sobie, że przez cały czas trzymała w ręce papier z wynikiem analizy grupy krwi. To była rzadko spotykana grupa, ta sama, którą on posiadał. Może dla sądu byłby to niewystarczający dowód, żeby uznać jego ojcostwo, ale Sylvie chyba nie przyniosłaby tych wyników, gdyby dziecko nie było jego. Inaczej nie miałoby sensu pokazywanie mu tego.

Szukał jej długo. Wiedział, że pochodzi z Michigan, i wynajął prawników, żeby ją tam odnaleźli. Przez długi czas nie odnaleziono żadnego śladu, tak jakby rozpułyła się w powietrzu. Może nie podała mu prawdziwego nazwiska, a może zmieniła je - nie

wiedział i nie mógł znaleźć sposobu, żeby się dowiedzieć. Przez długie miesiące, jakie nastąpiły potem, Zach miał dosyć czasu, by odkryć, ile znaczy dla niego jego dziecko, z jego krwi, z jego genów. Wcale nie był dumny ze swojego dotychczasowego stylu życia, wstydził się tego, co wynikało ze spędzenia nocy z Sylvie. Opieka nad dzieckiem byłaby najlepszą okazją do zmiany, więc odnalezienie maleństwa stało się dla niego sprawą najważniejszą.

Minęły prawie dwa lata - aż dwa lata - gdy prawnicy natrafili na jakiś ślad. Niestety, Sylvie zrealizowała swoją groźbę. Zaraz po urodzeniu dziewczynki oddała ją do adopcji. Przed Zachem wyrósł mur nie do pokonania. Istnieją tysiące przepisów chroniących tożsamość przybranych rodziców i po upływie roku adopcja staje się prawnie zalegalizowana, co oznacza, że nieślubny ojciec ma tylko ten jeden rok na dochodzenie swoich praw. Wszystko to było pomyślane, by chronić zarówno dziecko, jak i jego przybranych rodziców. I słusznie, tyle że czasami mogło się zdarzyć, że jakiś ojciec pozostał w sytuacji bez wyjścia. Jak on.

Miał tylko jedną jedyną szansę. Gdyby potrafił udowodnić, że Sylvie oszukała towarzystwo adopcyjne, nie podając nazwiska prawdziwego ojca, sąd mógłby nakazać odtajnienie akt. Ale wezwana w tej sprawie Sylvie po prostu łągała. Twierdziła, że współżyła z dzieśiątkiem mężczyzn i nie jest w stanie stwierdzić, który z nich może być ojcem dziecka. Tak więc stało się. Tylko test na zgodność DNA mógłby udowodnić jego ojcostwo, ale do tego potrzebne byłoby dziecko. Koło się zamknęło. Nic nie było w stanie zwrócić mu jego córki.

Oczy piekły go od wiatru. Wciąż dotkliwie odczuwał oszustwo Sylvie, ale miał też świadomość tego,

że na nim spoczywa główna odpowiedzialność za to, że utracił swoje dziecko. To mogło się stać wcześniej, z jakąkolwiek inną kobietą. Nie zadawał się przecież z osobami, które przyprawia się do domu, aby przedstawić matce. Zimne fale podbiegły aż do jego stóp. Znowu zaczął padać mokry, gęsty śnieg. Powinien wracać i schronić się w domu, ale nie myślał o tym, mógł myśleć jedynie o Kirstin.

Ona ujrzała w nim coś dobrego. Bóg jeden wie, co. Kiedy był przy niej, chciał być właśnie taki, za jakiego go uważała, chciał, żeby zawsze miała ten blask w oczach. Nie miało znaczenia to, że jej pragnął. Nie miało znaczenia, że jej potrzebował. A jeszcze mniej był ważny fakt, że jak ostatni głupiec zakochał się w niej.

Jak mógł się tak oszukiwać? Nie miał jej nic do zaoferowania oprócz niepewnej przyszłości i przeszłości naznaczonej mnóstwem błędów. Wiedział wiele o seksie, ale nie miał doświadczenia, jeśli chodzi o miłość - prawdziwą miłość i zaangażowanie. Już kiedyś ktoś niewinny zapłacił za jego egoizm i nie dopuści, żeby to się powtórzyło. Musi tylko trzymać się z dala od niej.

Już nigdy jej nie dotknie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Mamo? Myślisz, że Zach zgodzi się pojechać z nami?

- Nie wiem, kwiatuszku. Możemy go tylko o to poprosić.

- Ale to ja go poproszę, dobrze?

- Oczywiście, że ty.

Kirstin zahamowała na podjeździe, a Mellie natychmiast wyskoczyła z samochodu i pobiegła ścieżką. Za moment waliła już pięstkami w drzwi domu Zacha. Kirstin poczuła wyrzuty sumienia, że posyła małą, żeby załatwiła wszystko za nią. Ale w obecności Mellie wzrok Zacha miękł, głos łagodniał i ten posepny mężczyzna stawał się miękki jak воск. Mellie na pewno nie odmówi. Co innego, gdy chodzi o nią samą. Po ostatnim wieczorze na pewno nabrał przekonania, że Kirstin często napastuje mężczyzn. Czuła się głupio, bo zdawała sobie sprawę, że przez chwilę zaczęła uważać się za atrakcyjną kobietę. Może i Zach potrzebował kogoś, ale jest jasne jak słońce, że nie chodziło o nią.

Nie będzie już się nad nim znęcać, ma zamiar zachować dystans. Co nie znaczy oczywiście, że w ogóle zostawi go w spokoju. Mellie wciąż stukała do drzwi, a w domu zaczęły zapalać się światła - najpierw na piętrze, potem na parterze, a w końcu lampa przed domem oblała łagodną, żółtą poświatą postać małej.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu stanął Zach, ubrany w czarną bluzę i džinsy, potargane włosy błyszcząły w świetle głęboką czernią. Wypełniał sobą całe przejście, z daleka widać było groźne, zachmurzone spojrzenie, mówiące, że oto ktoś ośmiela się naruścić jego prywatność.

Zauważył Mellie dopiero, gdy mała pociągnęła go za rękaw. Popatrzył w dół i groźna mina znikła, przynajmniej na ten czas, kiedy z nią rozmawiał. Kirstin patrzyła, jak pochylił się, słuchał, potem zamienił z dziewczynką kilka słów, by wreszcie rzucić spojrzenie w stronę samochodu. Kiedy szedł do niej, miał tę samą nachmurzoną minę, jak przed chwilą. Zacisnęła palce i uśmiechnęła się. Opuściła szybę, a on oparł się łokciami o okno samochodu. Nie wziął kurtki - najwyraźniej nie miał zamiaru zabawić długo na dworze.

- Zdaję sobie sprawę, że coś planujecie, ale nie mogę w ogóle zrozumieć o co chodzi twojej córce. Czyżby zapraszała mnie na piknik? - spytał i stał czekając, żeby rozwiała jego wątpliwości.

- Bardzo dobrze ją rozumiałeś, zapraszamy cię na piknik. Nie jadłeś jeszcze kolacji, prawda?

Stał tak blisko, że poczuła nieuchronny przypływ podniecenia. Przypomniała sobie pocałunki w sypialni. Patrzyła na jego twarz, poznaczoną bruzdami ze zmęczenia, i podkrążone oczy. Uniósł tylko brwi i przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

- A... Kirstin?

- Słucham.

- Moja droga, pewnie zauważyłaś, że pogoda nie jest zbyt dobra, jak na piknik. Za godzinę będzie ciemna noc, jest zimniej niż w lodówce, a na dodatek wczoraj padał śnieg.

Serce Kirstin zabiło mocno, gdy usłyszała słowa: „moja droga”, chociaż zdawała sobie sprawę, że to wcale nie miało zabrzmieć czule.

- Nigdy nie byłeś na pikniku w zimie? To najlepsza pora.

- Oczywiście żartujesz.

- W lesie będzie pięknie. Nie potrzebujesz brać niczego oprócz kurtki. W samochodzie mamy jedzenie, koce i drewno na podpałkę. Jesteśmy z Mellie starymi specjalistkami od tych rzeczy. I będziemy z powrotem za dwie godziny, nie trzeba jechać daleko.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale... - Najwyraźniej miał zamiar stanowczo odmówić.

- Mellie? - Kirstin odwołała się do córki, która na szczęście włączyła się w samą porę.

- Zach, tam w lesie są niedźwiedzie. I jeszcze lwy i tygrysy. Jak nie pojedziesz, to nie będzie miał kto nas obronić.

Zach popatrzył na Mellie. Nie wiedząc, co zrobić, zaczął masować kark, jakby nagle poczuł ból mięśni.

- Słuchaj, maleńka, to naprawdę miło z twojej strony, że mnie zaprosiłaś. Jestem bardzo wdzięczny. Ale muszę dzisiaj zrobić jeszcze tyle rzeczy... - Ton jego głosu znów był miękki.

- Zach, proszę. Proszę! Możesz nieść mojego łosia. Możesz zjeść wszystkie cukierki. Odstąpię ci najlepsze miejsce przy ognisku. Jak z nami nie pojedziesz, to będzie mi smutno. I naprawdę będę się bała niedźwiedzi.

- Na miłość boską, Kirstin, czy nie możesz mi pomóc?

Akurat!

- Jeżeli nie pojedziesz, to ja też będę się bała niedźwiedzi - powiedziała żałośnie.

- Nie pojedę.

- Musisz tylko wziąć kurtkę i rękawiczki.  
- Nie - powtórzył stanowczym głosem, starając się patrzeć na Kirstin i nie dostrzegać błagalnego wzroku jej córki.

- Będzie wspaniale - upewniała go.

Nawet kiedy w końcu wsiadał do półciężarówki, wciąż nie miał ochoty jechać na ten piknik. Nawet godzinę później, kiedy kurczak był już nabity na prowizoryczny rożen, a pomarańczowe błyski ognia rozświetlały śnieg w ciemności, Kirstin widziała, że wciąż nie był pewien, jak im się udało go w to wciągnąć. Już teraz mogła mu powiedzieć - dlatego że nie był w stanie odmówić dziecku. Ale przedtem musiała wprawić go w lepszy humor.

Bezwzględnie i bezlitośnie zaprzęła go do pracy. Ktoś musiał przyciągnąć do ogniska pnie do siedzenia, posmarować kurczaka roztopionym masłem, włożyć owinięte aluminiową folią ziemniaki do ogniska, nalać kakao do kubków. Potem Mellie, oczywiście, rozlała swoje kakao. Następnie, tak jak można było przewidzieć, chciała zrobić siusiu - Mellie zawsze chciała robić siusiu, kiedy była zapakowana w zimowy kombinezon. Wszystkie te kłopoty Kirstin zepchnęła na Zacha.

Zapadł zmrok, a niebo rozświetlone księżycem sprawiło, że śnieg błyszczał jak biały lukier. Nie ma nic piękniejszego niż świeżo spadły śnieg. Od czasu do czasu jakiś płatek opada powoli w dół, drzewa stoją nieruchomo, a powietrze wypełnia aromat sosen. I w końcu Kirstin po raz pierwszy zobaczyła, że Zach jest... rozluźniony. Jak gdyby znów poczuł radość życia. Znikło napięcie ramion, zaczął pojawiać się uśmiech i nareszcie włączył się do rozmowy.



- Nie uwierysz, jak wspaniale to będzie smakować  
- powiedziała.

- Ten kurczak wpadł dwa razy do ognia, z jednej strony jest cały zwęglony, a ty wmawiasz mi, że będzie jadalny?

- Zobaczysz.

Zaczęli już nawet z siebie żartować. Cała trójka poparzyła sobie palce, ale nikt tym się nie przejmował. Plecy im ziębły, a z przodu się przypiekali, ale na to też nikt nie zważał. Kurczaki pieczone w piekarniku nie smakują tak wspaniale. Nie ma na świecie nic lepszego niż upieczony na ognisku kawałek mięsa, oderwany od kości lepkimi palcami i włożony do ust, gorący i soczysto miękki.

- A co, nie mówiłam?

Tłoczyli się przy ogniu, rozpychali łokciami i jedli jak wygłodniałe wilki. Dla Kirstin i Mellie nie było to nowością, ale oczy Zacha już przy pierwszym kąsie rozszerzyły się ze zdumienia.

- Na pikniku wszystko smakuje lepiej, bo nie musisz używać sztuczków ani zachowywać się tak jak przy stole - wyjaśniła Mellie. - Możesz narobić bałaganu i nic się nie stanie. Nawet jak się cały coś wymażesz, to mama nic ci nie powie. Nie powie nic, nawet jeśli teraz zacznę jeść cukierki, prawda, mamusiu?

- No dobrze, możesz sobie wziąć kilka, są w samochodzie.

Mellie pobiegła do półciężarówki podskakując, a Kirstin potrząsnęła głową.

- Od dnia urodzenia owinęła mnie wokół swojego paluszka. Przeczytałam wszystkie książki o wychowaniu dzieci, ale w niczym to nie pomogło.

- A może przypadkiem ona jest kimś najważniejszym w twoim życiu?

- Chyba tak - uśmiechnęła się Kirstin. - Ale to się samo przez się rozumie. Nie ma na świecie nic ważniejszego niż dzieci.

- Wiem - odpowiedział cicho.

Zobaczyła, że nagle spowaźniał, ale nie wiedziała, z jakiego powodu.

- Chcesz jeszcze odrobinę kakao?

Zach skinął głową, więc Kirstin odkręciła termos i rozlała resztę kakao do dwóch kubków.

- Chciałam ci powiedzieć... - zaczęła ostrożnie.

- W tym tygodniu rozmawiałam z twoimi braćmi.

- Po co do ciebie dzwonili? - spytał zaskoczony.

- No cóż, nie jestem całkiem pewna, ale chyba się domyślam. - Ostrożnie podała mu parujący kubek, starając się nie dotknąć jego dłoni. - Nie znają tutaj nikogo, a ze mną rozmawiali już przedtem kilka razy w sprawie domu i wiedzą, że jesteśmy w kontakcie. Nie, wcale nie wypytywali o ciebie, po prostu chcieli dowiedzieć się od kogoś, czy z tobą wszystko w porządku.

- Do diabła, przecież nie było powodu, żeby ciebie niepokoić. Dzwonimy do siebie co parę dni i moi bracia wiedzą, że mam się dobrze.

- Naprawdę? - szepnęła.

- Pewnie chodziło im o tamtą sprawę - powiedział z wahaniem. - Chcą wiedzieć, dlaczego zespół się rozleciał i dlaczego z niego odszedłem.

Nareszcie zaczął trochę się otwierać. Kirstin bała się, że powie coś niewłaściwego, coś, co znowu zamknie mu usta.

- Słuchałam ostatnio jednej z twoich kaset - oznajmiła. - Nagranie na żywo z koncertu, zdaje się, że nazywało się „Dziki noc”. Co prawda, nie znam się na muzyce i moja opinia nic nie znaczy, ale... mimo

wszystko powiem. Moim zdaniem to było wspaniałe nagranie. Zwłaszcza ostatnia część.

- Ostatnia część?

- Zakończenie koncertu. To, co śpiewałeś na samym końcu.

Oparła się plecami o pień, na kolanach trzymała kubek z parującym kakao. Usadowiła się w pewnej odległości, bo nie chciała, żeby Zach zaczął obawiać się, że znów się na niego rzuci, chociaż Bóg jeden wiedział, jak bardzo tego pragnęła. Przez cały czas niebezpiecznie kusił ją pomysł, żeby otoczyć go ramionami. Tego ranka pod wpływem jakiegoś impulsu kupiła tę taśmę. I zanim ją przesłuchała, nie planowała żadnej wyprawy do lasu, miała zamiar zostawić go w spokoju. Jednak potem przez resztę dnia brzmiała jej w uszach ta muzyka. Sprawiała, że ciało samo zaczęło się poruszać - jej rytm był dziki, szybki i zmysłowy. Przy końcu każdego utworu publiczność wznosiła okrzyk, a Kirstin próbowała wyobrazić sobie Zacha na scenie, oblanego jaskrawym światłem, z grzywą czarnych włosów, kołyszącego biodrami i śpiewającego do mikrofonu.

Wydawało jej się niemożliwe, żeby ten siedzący przy niej mężczyzna potrafił się tak eksponować, był przecież nieśmiały, skromny i zachowywał się z dużą rezerwą. Ale na końcu koncertu nastąpiło coś takiego, że zmieniła o nim zdanie. Dwa ostatnie utwory Zach zagrał na saksofonie. I wtedy, o Boże, ponad dźwiękami gitary basowej i perkusji słyszała tęsknotę tak głęboką, że zaczęło ją boleć serce. Saksofon zdawał się skarżyć i opowiadać o samotności i rozpacz, o mężczyźnie szukającym kogoś, kto by go wysłuchał i zechciał zrozumieć.

Znała ten rodzaj bólu. Po śmierci Alana musiała być

silna, dzielna, ale nocami ogarniała ją rozpaczliwa samotność, przytłaczał smutek i żal, zdarzały się chwile, że wątpiła, czy kiedykolwiek się z tego otrząśnie. Nikt nie mógł jej pomóc, chociaż czuła się otoczona miłością rodziny.

- Hej, Kirstin, gdzie jesteś? - odezwał się cicho Zach.

- O, przepraszam. - Uniosła głowę. - Właśnie myślałam o twojej muzyce. Kiedy słuchałam tych ostatnich utworów, miałam dziwne uczucie... tak jakbym cię znała. Jakby ta muzyka przemawiała wprost do mnie. Głupie, prawda?

- Nie, nie głupie - odparł spokojnie, chociaż jego oczy aż jarzyły się w ciemności. - Właśnie taki powinien być dobry blues, powinien służyć porozumiewaniu się. Sposób na powiedzenie czegoś, czego nie da się wyrazić słowami.

Patrzyła, jak Zach pije kakao. Skrzętnie ukrywał swoje słabości, ale czasami było je widać, szczególnie kiedy był z Mellie... I może gdyby jakaś kobieta dotknęła go z czułością i troską...

- Musisz bardzo kochać swoją muzykę - szepnęła.

- Kochałem, nie kocham. Czas przeszedł. Dla mnie wszystko już się skończyło.

- To dlatego odszedłeś? Bo już muzyki nie kochasz?

- Ona przestała przychodzić do mnie. To wszystko. - Odstawił kubek i wrzucił ramionami. - Żeby grać bluesa, trzeba być... uczciwym. Można zagrać właściwe dźwięki, uderzyć właściwe akordy, ale trzeba dać też coś z głębi samego siebie, jeżeli to ma być naprawdę dobre. Może mnie, jak kiepskiemu politykowi, zabrakło już kłamstw.

Podniósł głowę i w oczach miał zaskoczenie, że oto

rozmawia z nią o swoich problemach. Najwyraźniej nie przypuszczał nigdy, że podzieli się z kimś tymi odzuciami.

- Myślę, że powinieneś już przestać tak się przejmować - odezwała się delikatnie. - Ludzie miewają gorsze okresy, niezależnie od tego, czym się zajmują. To się po prostu zdarza. Nie możesz się za to potępić.

- Co ty możesz wiedzieć o życiu? Może właśnie mam dużo powodów, żeby się potępić. Nie masz pojęcia, w jakie rzeczy się pakowałem.

- To prawda. Ale za to ja jestem rewelacyjną znawczynią ludzkich charakterów - poinformowała go wyniośle.

- Tak myślisz? - Wbrew sobie musiał się uśmiechnąć.

- Ja to wiem. Dobrego człowieka rozpoznam po ciemku na dwadzieścia kroków. Moja ocena jest bezbłędna.

- O, do diabła. Chcesz mi powiedzieć, że opowiadanie ci o mojej kryminalnej przeszłości to strata czasu?

- Całkowita.

Nagle z ciemności wyłoniła się Mellie, obładowana naręczem chrustu. Miała brudne ręce, czarne smugi na twarzy i przekrzywioną czapkę. Bez pytania włądowała się Zachowi na kolana. Kirstin oparła się tylko wygodniej i patrzyła na nich. Mellie trajkotała przez cały czas i wymachiwała patykiem dla zilustrowania tego, o czym właśnie mówiła. Kirstin spróbowała delikatnie ją skarcić, ale nikt jej nie słuchał. I w końcu Zach był sam sobie winien, kiedy lepki cukierek utkwiał mu w brodzie. Udało się go wyjąć po kilku próbach - no, w każdym razie większe kawałki. Wyglądał na zaskoczzonego tą sytuacją, ale po chwili roześmiał się,

najpierw chrapliwie, gardłowo, a potem wybuchnął głośnym, szczerym śmiechem. Kirstin poczuła się, jakby w środku wszystko jej zmiękło. Ten śmiech upewnił ją, że jednak miała rację, chcąc mu pomóc, przecież w końcu wyznał, że nie potrafi już grać. Co prawda, nie sądziła, by tylko kryzys zawodowy mógł wywołać taki smutek i ból w jego oczach. Z doświadczenia wiedziała, że aby mieć siły do zmagania się z ciężkim ciosem, trzeba zacząć od podstawowych rzeczy - spokoju, odpoczynku, jedzenia, świeżego powietrza... i przyjaciela. Kogoś, z kim można porozmawiać, pośmiać się. I właśnie tym dla niego będzie. Po prostu przyjacielem.

I jeśli będzie ostrożna, naprawdę bardzo ostrożna, to może on nigdy się nie dowie, że się w nim zakochała.

Ta kobieta jest naprawdę niebezpieczna. Wygląda tak niewinnie, tak słodko, ale on nie da już się oszukać. Ona potrafiłaby skusić mnicha, mogłaby purytana wpędzić w alkoholizm. I co gorsza, jej zachowanie doprowadza do tego, że człowiek robi rzeczy, których za żadne skarby nie chciał zrobić.

- Naprawdę mam obciąć to wszystko?

Zach spojrział na fryzjera. Dwa dni zbierał się na odwagę, żeby tu przyjść. Przypomniawszy sobie, jak po pikniku przez godzinę stał pod prysznicem wydłubując sobie przedziwne rzeczy z brody i śmiejąc się przy tym przez cały czas. Śmiał się. On. Co ta kobieta z nim zrobiła?

- Włosy, brodę, wszystko - powtórzył.

Zamknął oczy, słysząc szcęk nożyczek. Był to błąd, bowiem pod powiekami natychmiast pojawiła się twarz Kirstin, taka, jaką ją widział podczas jazdy do domu. W samochodzie było ciemno, Mellie zasnęła na siedzeniu między nimi, a Kirstin prowadziła samochód

po oblodzonej nawierzchni, jakby była w wesołym miasteczku i nagle ni z tego, ni z owego, zadała mu dziwne pytanie:

- Jak sądzisz, czy powinnam się przeprowadzić?

- Przepraszam?

- Dwa lata już mieszkamy u mojego ojca, myślałam, że ci o tym mówiłam. Po śmierci Alana wydawało się, że to najlepsze rozwiązanie. I chyba rzeczywiście tak było. Mieszka się nam dobrze razem, Mellie bardzo się to podoba, ojcu też. Tylko że ostatnio... sama nie wiem. Czuję się jakaś niespokojna. Chyba już jestem za stara, żeby mieszkać z rodzicami, i tęsknię za niezależnością. Czy to nie jest egoizm z mojej strony?

- Nie.

Odpowiedział jej szybko i krótko, licząc na to, że utnie w ten sposób rozmowę, która stawała się niebezpieczna. Przez ten zwariowany piknik za bardzo się do siebie zbliżyli. Kirstin okazała się taka spostrzegawcza, tak wrażliwa. Do diabła, doprowadziła do tego, że zaczął z nią rozmawiać, zanim zdał sobie sprawę z tego, co mówi. Rozsądniej będzie uciec od jakichkolwiek osobistych wynurzeń. Niestety, Kirstin chyba nie zrozumiała tego „nie”, bo uśmiechnęła się tylko do niego i mówiła dalej:

- Jest mi trochę niewygodnie, rozumiesz? To tak jakbym prowadziła dom mojej mamy, a nie własny. Tata rozpuszcza Mellie bardziej, niż bym sobie tego życzyła. I nie chodzi o to, że chcę tańczyć sobie nago po domu... tylko że nie mogę tego robić, gdybym akurat miała na to ochotę. We własnym mieszkaniu wszystko wyglądałoby inaczej. Tutaj jestem tylko matką i córką i czasami wydaje mi się, że tracę szansę, żeby być po prostu sobą. Kobieta. To znaczy - przypuśćmy, że chciałabym przeżyć jakąś przygodę z nieznanym...

- Od kiedy to pragniesz takiej przygody? - przerwał jej, wyraźnie zaniepokojony.

- No, od jakiegoś czasu. Pamiętaj, że mam dwadzieścia dziewięć lat, a nie osiemnaście. Mellie idzie spać o ósmej i potem noce są długie. - Znów uśmiechnęła się, tym razem porozumiewawczo, jakby dając Zachowi do zrozumienia, że przecież oboje są dorośli i prowadzą koleżeńską rozmowę.

- Uważam, że nie powinnaś brać pod uwagę przygody z nieznanym facetem - powiedział stanowczo.

- Nie? A mnie się wydaje, że to jest zupełnie niezły pomysł. Mellie jest dla mnie najważniejsza i gdybym chciała z kimś się związać na stałe, to ona automatycznie byłaby w to włączona. A przecież nigdy nie wiadomo, czy związek przetrwa próbę czasu, i może rozbudziłabym w niej tylko złudne nadzieje, że będzie miała nowego tatusia. Za to o małej, dyskretnej przygodzie po prostu by nic nie wiedziała. Przecież są na pewno na świecie samotni, mili panowie, którzy też nie są przygotowani na coś poważnego, za to...

Dziecko spało z głową wtuloną w jego ramię. Ten cholerny pas bezpieczeństwa nie pozwalał przesunąć jej ani o centymetr.

- Nie ma „miłych” facetów, Kirstin. Nikt, kto szuka okazji na jedną noc, nie jest „miłym” gościem. To wszystko są łobuzy.

Wydawało się, że nie usłyszała, co powiedział. Właśnie skręcali z szosy do jego domu.

- Chodzi o to, że nie chcę robić mu przykrości.

- Wiesz, mam wrażenie, że za dużo martwisz się o to, żeby nie urazić uczuć innych, zamiast pomyśleć trochę o sobie. - Zawahał się na chwilę. - Robić przykrość komu?

- Mojemu tacie. Albo Mellie. Im obojgu odpowiada



obecna sytuacja. - Westchnęła, zatrzymując samochód pod domem Zacha. - Chyba jestem samolubna, że myślę o tym, żeby się wyprowadzić. Denerwuje mnie ten brak niezależności, ale to przecież nie znaczy, że mam rację. - Nagle uśmiechnęła się promiennie. - Dziękuję ci, Zach. Rozmowa z tobą bardzo mi pomogła.

Odjechała, a on stał tak w ciemności, roztrzęsiony tą całą dyskusją. Jeszcze nigdy żadna kobieta tak źle go nie oceniła. A na dodatek po tej rozmowie wciąż prześladowały go dziwne obrazy. Widział je z fotograficzną dokładnością: Kirstin naga tańczy po całym domu albo jest w łóżku z jakimś nieznanym...

- Zrobione. Jak się panu podoba?

Fryzjer zerwał ręcznik z jego ramion i obrócił krzesło, żeby Zach mógł przejrzeć się w lustrze ze wszystkich stron. Patrzył teraz na swoje odbicie i był wstrząśnięty. Tak naprawdę to ona była przyczyną, dla której postanowił się ostrzyć. Nie chciał, żeby wstydziła się jego zaniedbanego wyglądu. Boże, uzmysłowił sobie, że nie widział swojej twarzy od lat, od czasów, kiedy zaczął występować. Czuł się niemal nagi. Zapomniał, jak naprawdę wygląda. Sprawiał teraz wrażenie młodszego o dziesięć lat, znikła gdzieś surowość rysów.

- Nie sądzę, żeby mógł pan jeszcze coś zmienić. Przykleić tego z powrotem raczej się nie da - powiedział drwiąco.

- Dlaczego nie? Nasz klient, nasz pan. Mam tu gdzieś trochę kleju.

Pomyślał gorzko, że mieszkańcy stanu Maine mają dość specyficzne poczucie humoru. Wyjął kolczyk z ucha, gdyż w tym uczesaniu wyglądał z nim cholernie głupio, zostawił napiwek fryzjerowi i wyszedł, nie

przestając myśleć o Kirstin. Dałby sobie radę, gdyby chodziło tylko o fascynację jej szczupłymi nogami i piegami. Gdyby to było zwykłe pożądanie. Ale tym, co go najbardziej ujęło, był szacunek, jaki widział u niej w stosunku do siebie. I to nie miało żadnego związku z jego sławą jako tak zwanej gwiazdy rocka, wiedział też, że nie obchodzą jej jego pieniądze. Chyba po prostu lubiła z nim rozmawiać, przebywać, włączać go do tego, czym się akurat zajmowała. Ale w tym momencie upomniał sam siebie, żeby za dużo sobie nie wyobrażał. Od przyjacielskich rozmów daleko jeszcze do seksualnego czy emocjonalnego związku i jeżeli będzie ostrożny, to nic się nie stanie. Zostanie tak jak jest i wszyscy będą bezpieczni.

Czując się uspokojony i odpężony, szybko wsiadł do samochodu, myśląc z przyjemnością, że ma przed sobą dwadzieścia cztery długie, przyjemne godziny, zanim znów będzie miał z nią do czynienia. Musi tylko przestać o niej myśleć i wszystko będzie dobrze. Kwadrans później podjeżdżał już pod swój dom. A tam, na miejscu gdzie zazwyczaj parkował, stała znajoma, zarzewiała pomarańczowa półciężarówka, z drzwiami ozdobionymi ponaklejanymi kwiatkami.

O, Boże, pomyślał. Co teraz począć?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dzisiaj jest czwartek, prawda? Nie wtorek ani piątek? Nie spodziewałem się, że was tu zobaczę.

- Cześć, Zach! Ale niespodzianka, co? - Mellie podskakiwała radośnie, uśmiechnięta, z wypiekami na policzkach. - Mówiłam mamie, że się ucieszysz. Ale nie możemy zostać długo, tylko ze dwie godziny, bo mama ma potem jeszcze coś do zrobienia... o rany! Gdzie są twoje włosy?

Zach udał, że nie słyszy pytania, i powoli zdejmował kurtkę, zaglądając przy okazji ukradkiem do kuchni.

- Wielkie nieba, a gdzie jest twoja mama? I czy przypadkiem o tej porze nie powinnaś być w szkole?

- Powinam. Ale bolał mnie brzusek i mama musiała po mnie przyjechać. Dlatego cały jej dzisiejszy plan wywrócił się do góry nogami. Pani Merkel powiedziała, że dzieci w pierwszej klasie często boli brzusek. To się nazywa stres - poinformowała go skwapliwie.

Stres? Obraz kuchni mógłby przyprowadzić człowieka o atak serca. Na stole piętrzyły się foremki do ciastek, miski i inne przeróżne sprzęty. Mellie oraz podłoga wokół były upstrzone kroplami jakiejś dziwnej substancji. Pociągnął nosem - mus jabłkowy? I to wszystko pokrywała warstwa dziwnego brązowego pyłu. Jeszcze raz wciągnął powietrze. Cynamon.

- Złotko, co ty tu wyrabiasz?

- Robię różne cynamonowe ozdoby. No wiesz, na gwiazdkę. - Mellie nabrała ze słoika łyżkę musu i niosła ją do miski, roniąc przy tym obficie kolejne krople. - Chcesz mi pomóc? To jest naprawdę fajne zajęcie. Najpierw trzeba zrobić taką cynamonową zupę, potem to rozwałkować i powycinać foremkami różne rzeczy, na przykład anioły albo gwiazdki, albo renifery. No wiesz, to co się wiesz na choince. To łatwe.

- Gdzie jest mama? - powtórzył pytanie.

- Czyści takie coś z kryształu - Mellie machnęła ręką w nieokreślonym kierunku. - To dlatego dała mi tę robotę, żebym nie siedziała jej na głowie. Mogę pozwolić ci mieszać, tylko będziesz musiał bardzo uważać.

Zach nie chciał mieszać. Jednak odsunął krzesło i usiadł, żeby przypilnować małej i nie dopuścić do większego bałaganu, zanim zjawi się Kirstin. Tyle że Mellie, przez cały czas coś mówiąc, wsadziła mu w ręce lepka miskę, zanim zdążył zorientować się, co się dzieje. Niech to piekło pochłonie, to dziecko mogło niemal przegadać własną matkę.

- Zach, jaka jest twoja teoria na temat Świętego Mikołaja?

- Teoria?

- Przecież nie jestem już małym dzieckiem i dobrze wiem, że on nie może wchodzić przez komin. Przecież jest za duży i za gruby. Ale Julie Brahms - to moja dawna najlepsza przyjaciółka, tam w Albany - mówi, że Świętego Mikołaja w ogóle nie ma i nigdy nie było. A więc skąd biorą się te wszystkie prezenty pod choinką, możesz mi to wytłumaczyć? Tylko nie mów mi, że kładzie je tam mama. Ona nie ma tyle pieniędzy, żeby to wszystko kupić. No i raz widziałam renifera.

- Naprawdę? - Zach spojrział z rozpaczą w kierunku drzwi. Nie miał pojęcia, jaką rzecz z kryształu czyściła Kirstin, ale nigdy przecież nie zostawiała małej samej na tak długo. Pewnie lada chwila przyjdzie i uwolni go z opresji.

- Aha. Widziałam go w lesie, zaraz za domem dziadka. Ale nikomu o tym nie mówiłam. Wiesz, w szkole wszyscy by mi zazdrościli. Każdy by chciał, żeby renifer mieszkał sobie przy jego domu. Daję słowo, naprawdę go widziałam i nikt mi nie powie, że on nie był prawdziwy... o, tak musisz je wycinać. Nigdy przedtem nie używałaś foremek do ciastek?

Rany boskie, gdzie Kirstin się podziewa? Nie miał pojęcia, co robić z tymi foremkami ani też, jak rozmawiać z małą na tak delikatny temat jak istnienie Świętego Mikołaja. Oto problemy, z którymi muszą sobie radzić ojcowie. Niezgrabnie wytarł brzegiem kuchennej ściereczki policzek małej, bo ta lepka maż już o mało nie dostała jej się do oka. Mellie obdarzyła go uśmiechem, a Zacha na ten widok aż zabołało serce.

Te wielkie, świetliste oczy za każdym razem przypominały mu o tym, że nigdy nie będzie ojcem dla swojej własnej córki. Ona jest dużo młodsza od Mellie, ale już za parę lat jej przybrany ojciec będzie mógł usiąść z nią przy stole w kuchni, robić to, co on teraz, i zastanawiać się, czy lepiej jeszcze opowiadać dziecku bajkę o Świętym Mikołaju, czy też powiedzieć mu prawdę. A może ten facet to jakiś oschły, zasadniczy gość, który nie lubi dziecięcych fantazji? Albo jest zbyt wielkim waśniakiem, by usiąść z dzieckiem na podłodze i bawić się, opowiadać bajki, śmiać się.

- Hej, Zach. - Palec Mellie pojawił się nagle przed

jego nosem. - Gdybyś tego nie zauważył, to właśnie skończyliśmy. Ale musisz mi podpalić piekarnik.

- Słucham?

- Musisz nastawić piekarnik na bardzo mały płomień. Nie będziemy piekli tych figurek, ona muszą się tylko wysuszyć. I potem będzie można ich używać całe życie. Tylko ja nie mogę włączyć piekarnika, bo mama by mnie zabiła.

- Przecież wiesz, że nie zrobiłaby ci krzywdy.

- Chyba żartujesz? Pokroiłaby mnie na kawałki i rzuciła na pożarcie tygrysom. - Mimo wszystko Mellie nie wyglądała na przerażoną taką straszliwą wizją. - Daję ci słowo, będzie o wiele lepiej, jeżeli ty włączysz piekarnik.

- Złotko, czy ty jesteś całkiem pewna, że to powinno suszyć się w piekarniku?

- O rany, przecież mam już siedem lat - odparła Mellie ze zniecierpliwieniem.

Zach zrozumiał, że dzięki tej informacji miał uwierzyć w jej dojrzałość i mądrość. Spróbował wydobyć coś ze ściśniętego gardła.

- Pośpiesz się - zarządziła Mellie. - Czy chcesz potem tu posprzątać, czy ja mam to zrobić? Ktoś z nas powinien zobaczyć, co dzieje się z mamą. Ona jest na drabinie. Kiedy mama jest na drabinie, wszystko może się zdarzyć.

Zach zerwał się raptownie, aż krzesło zgrzytnęło o podłogę.

- Nic nie mówiłaś, że mama jest na drabinie.

- A gdzie ma być? Jak inaczej może dosięgnąć tego czegoś kryształowego pod sufitem?

W końcu dotarło do niego, że mówiąc o „czymś kryształowym”, Mellie miała na myśli żyrandol.

- Kochanie, poczekaj tu grzecznie, ja zaraz wracam.

Pobiegł do drzwi. W tym cholernym domu było pełno żyrandoli. W wyobraźni już widział Kirstin balansującą na szczycie drabiny. Przecież ta oferma może się zabić... o ile już tego nie zrobiła. Wpadł do jadalni. Tutaj na szczęście żyrandol pokrywał wieloletni kurz. W pokoju obok także nie było nikogo. Zajrzał do ośmiokątnego pokoju w wieży i stanął jak wryty.

Kirstin nuciła coś głośno, strasznie fałszując, najwyraźniej bawiąc się świetnie i nie wiedząc o tym, że o mało nie przyprawiła go o atak serca. Doleciał go cierpki zapach octu, pochodzący bez wątpienia z miski, którą trzymała w ręku. Żyrandol był stary, w kształcie piramidy składającej się z wielu kawałków szkła ołowiowego o kształcie graniastosłupów, zwisającej z kopulastego sufitu. Czyściła go, zanurzając kolejno każdy kawałek w wodzie z octem, a one migotały wszystkimi barwami tęczy, rzucały błyski na cały pokój... na nią. Umyła już trzy czwarte żyrandola i teraz stała wyprostowana, starając się sięgnąć jak najwyżej, z ramionami wzniesionymi wśród migotliwych kryształów. Za każdym razem, kiedy się poruszała, wszystkie kryształki drżały i dzwoniły. Kirstin miała na sobie obcisły, tym razem niebieski sweter, a do tego stare dżinsy i tenisówki.

Stara metalowa drabina wyglądała bardzo niestabilnie i Zach bał się, że Kirstin może spaść... tylko dlatego przecież serce biło mu w piersi jak oszalałe. Wcale nie podziwiał jej wyglądu, wcale nie poczuł pierwotnej, męskiej potrzeby czuwania nad nią, a już na pewno nie podziałała tak silnie na jego zmysły. Po prostu był zdenerwowany, że ta nieostrożna kobieta spadnie z drabiny.

Skoczył do przodu i chwycił metalowy szczebel. W tej samej chwili Kirstin opuściła głowę, zobaczyła

go i otworzyła usta ze zdumienia. W pierwszej chwili chyba go nie poznała, a miska z octem - Boże, tego można się było spodziewać - wyleciała jej z rąk. Zachwycił za drabinę, chociaż Kirstin wcale nie zamierzała spadać. Kątem oka zobaczył rozbryzgującą się wodę, ale szklana miska nie roztrzaskała się na dziesiątki kawałków, tylko jakimś cudem wylądowała na podłodze w stanie nie uszkodzonym. Kirstin w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Wykonywała ewolucje na drabinie, tak, by mogła lepiej mu się przyjrzeć.

- Wielki Boże, ale mnie przestraszyłeś. Ledwo cię rozpoznałam.

Jej oczy lśniły uśmiechem, kiedy przekrzywiła głowę, nie kryjąc, co sądzi o jego nowym wyglądzie, o jego pozbawionej brody twarzy. Patrzyła z siostszą, łobuzerską kpina w oczach. Tylko że ona przecież wcale nie była jego siostrą i zdaje się, że w tym momencie też sobie o tym przypomniwała. Miękkie wargi rozchyliły się trochę, zamarła w bezruchu i jej wzrok przylgnął do jego twarzy z taką intensywnością, że poczuł się tak, jakby nagle poraził go prąd elektryczny. Cofnął się szybko o krok.

- Ja... nie chciałem cię wystraszyć. Bałem się tylko, że spadniesz.

- Nie ma się czego obawiać. - Zachichotała cicho.  
- Nie mam lęku wysokości. - Wskazała kryształową piramidę. - Widziałeś żyrandol?

Tak, widział żyrandol i widział te wszystkie kryształy i odbłask światła, i przede wszystkim widział jej oczy. Pomyślał, że to ostatni, naprawdę ostami raz, kiedy pozwala jej przebywać w pobliżu drabiny.

Poszła sobie. Obie wreszcie sobie poszły. Kuchnia lśniła czystością, nie został nawet ślad po jabłecz-



no-cynamonowej katastrofie, nie było słychać najbliższego echa nieprzerwanego paplania. Zach siedział na podłodze w pokoju na wieży. Otworzył puszkę piwa i wypił łyk zimnego napoju. Tutaj też było spokojnie, na szczęście. Drabina znikła, pokój był sprzątnięty, a tęczyowy żyrandol wyłączony. Panował przyjemny, kojący półmrok.

Wcale za nimi nie tęsknił. Wypił następny łyk i oparł się głową o szorstką stiukową ścianę. Nagle w pamięci pojawił się ostatni koncert... oślepiające światła, burza oklasków, lepkość potu i przypływ adrenaliny, kiedy muzyka pulsowała jak krew w jego żyłach. Większość muzyków może tylko śnić o czymś takim, co on przeżywał. Za tym powinien tęsknić. Nie za dzieckiem z głową całą w lokach, zadającym pytania, na które nie potrafił odpowiedzieć, hałasującym i robiącym bałagan, wspinającym mu się na kolana, jakby to miejsce do niego należało. A tym bardziej za jego matką. Dopił resztę piwa i otworzył drugą puszkę. Znowu Kirstin udało się popsuć mu spokojne popołudnie. A teraz poszła, a on czuł dreszcz niepokoju, ulgę i coś cholernie zbliżonego do tęsknoty. Musiałby być szalony, żeby za nimi tęsknić.

Podniósł puszkę do ust i wtedy w progu mignął jakiś cień. Zmarszczył ze złością brwi. Co innego, gdy człowiek sam przed sobą przyznaje, że ma kłopoty z zachowaniem zdrowego rozsądku, a zupełnie co innego, kiedy styka się bez przerwy z kłopotliwym dowodem tego stanu rzeczy. Słyszał, jak szpada brzęczy w metalowej pochwie... chociaż oczywiście nie było tu żadnej szpady. Ani nikogo poza nim.

- Fe, śmierdzi tu octem. Nie udało mi się zapobiec, żeby nic się nie wychlapało. Wszystko, co mogłem zrobić, to uratować miskę. Naprawdę trudno nie

zauważyć, że ta dziewczyna zachowuje się niezdarnie. Zwłaszcza kiedy jest w pobliżu ciebie, chłopcze. Według mnie to znak, że jest napalona, żeby pójść z tobą do łóżka... a to jest naprawdę coś, zwłaszcza teraz, kiedy wyglądasz jak idiota, całkiem ostrzyżony.

- Jock, idź sobie.

- Zaraz, zaraz. Skoro siedzisz tu po ciemku, równie dobrze możesz ze mną pogadać. A co dzisiaj pijesz? Piwo? Nie masz jakiejś porządnej butelczyny rumu? Ale nawet rum nie wyleczy tego, co cię boli. Nieźle ci zalazła za skórę, co, synu?

- Nic się nie stanie - powiedział Zach stanowczo.

- O tak, jasne, jak wciąż będziesz odsyłał ją do domu.

- Mogę ją zwolnić. - Zach pociągnął łyk piwa. Tak naprawdę to przecież nie rozmawiał z żadnym cholerym duchem, tylko wypowiadał głośno swoje myśli.

- Rozwahałem to, ale to by było tchórzostwo. Ona lubi ten dom, a praca jej odpowiada, bo może być z dzieckiem. Zabolałoby ją, gdybym ją zwolnił. Za dwa tygodnie wyjadę stąd, a do tej pory nie dopuszczę, żeby cokolwiek się stało.

- W niej jest coś takiego... przypomina mi baryłkę z prochem - rzekł Jock. - Nigdy nie wiesz, co teraz robi. Zawsze coś niespodziewanego. Mogę sobie wyobrazić, jaką niespodziankę znalazłbyś pod tymi jej spodniami...

- Ostrzegałem cię, żebyś nie ważył się mówić o niej w ten sposób. Zamknij się już.

- Lubisz też tę jej małą, co? Te błękitne oczy i kręcone włoski... założę się, że za parę lat zawróci w głowie wszystkim chłopakom, chociaż zdaje się, że ona ma dobrze poukładane pod sufitem. Nie jest tak impulsywna, jak jej matka. Pewnie jest podobna do swojego ojca.

Ojciec Mellie miał porządną, nudną, stałą pracę w biurze. Zdaje się, że jako mąż był kimś w rodzaju świętego, a jako ojciec - wzorem doskonałości. Samo wspomnienie o nim wystarczyło, by Zach sięgnął po następne piwo.

- Ojciec tej małej musiał być dobrym, silnym facetem...

- Nie mam zamiaru dyskutować o mężu Kirstin.

- O tak, znam cię. - Jock zarechotał, co zabrzmiało jak charczenie. - Nie lubisz myśleć o niej, jak zachowywała się, będąc z jakimś innym mężczyzną, co? Ale szczerze mówiąc, chłopcze, to bardzo dobrze, że ona miała męża. Z dziewczycami jest cholernie dużo zachodu. I wierz mi, że ona jest gotowa. Nie było jeszcze na świecie kobiety, która nie potrzebowałaby mężczyzny...

- Wiesz, Jock, czasy się zmieniły.

- E tam, przecież niektóre rzeczy nie mogą zmienić się tak bardzo. Widzę, że potrzebujesz instrukcji i tu ja mogę dać ci najlepsze wskazówki. Wszystkiego nauczyłem się od Teacha, a Czarnobrody wiedział więcej o kobietach niż jakikolwiek inny mężczyzna - wtedy czy teraz. I wszystko świetnie się ułoży. Jej mała potrzebuje taty, ty najwyraźniej zwariowałeś na jej punkcie i kiedy już...

- Jock?

- Tak, chłopcze?

- Jeżeli jeszcze raz wspomnisz o pójściu z Kirstin do łóżka albo nawet zrobisz najmniejszą uwagę na temat jakiejś jej części ciała, to znajdę tę twoją niewidzialną szyję i złamię ci kark.

Cisza.

Zach podniósł puszkę do ust i smakował przez chwilę piwo na języku. Dwa tygodnie. Dwa tygodnie

temu przyjechał tutaj i nie żądał od życia niczego więcej niż odrobiny ciszy i spokoju. Zamiast tego natknął się na kobietę, która narobiła większego zamieszania niż puszka Pandory. I na dziecko, które przypominało mu o najgorszych chwilach w jego życiu. Oraz ducha, maniaka seksualnego, co chwilę próbującego pouczać go, jak powinien postępować z kobietami. Jeżeli tak będzie dalej, to chyba w końcu wyląduje w zakładzie zamkniętym. Wstał i podszedł do okna. Nie musiał iść do psychiatry, żeby wiedzieć, skąd wziął się tutaj ten duch. Jock jest częścią jego samego. Ciemną, złą, amoralną stroną. Tą, która egoistycznie pożąda Kirstin aż do bólu. Żadne nadprzyrodzone zjawisko nie nazwałoby Kirstin beczką prochu, to on sam tak o niej myślał. Tak właśnie się czuł - jakby coś miało zaraz eksplodować - za każdym razem, kiedy niechcący otarł się o nią. Za każdym razem, kiedy ona tylko uśmiechnęła się do niego. Za każdym razem, gdy patrzyła na niego tym swoim niesamowitym wzrokiem.

Musi przetrwać jeszcze te dwa tygodnie. A potem już go tu nie będzie.

Kirstin podejrzewała zawsze, że taki wspaniały, stary dom musi mieć gdzieś ukryte skarby. Szukając Zacha, zbiegła z latarką w rękę ze strychu aż na parter. Znalazła go w bibliotece - akurat rozmawiał z kimś przez telefon. Siedział z nogami skrzyżowanymi na biurku, słuchawkę przytrzymał przekrzywioną głową, a przed nim stał kubek z kawą, ledwie widoczny wśród porzrzucanych papierów.

- Tak... dostałem to, tak... rozmawiałem z Se-  
them... o Boże, ty bardziej się mną przejmujesz niż  
kwoka swoim piskłębem. Nie ma się czym dener-

wować, przecież ci mówiłem... dobrze... dobrze... o, cholera, ktoś puka do drzwi, muszę otworzyć.

Musiała się uśmiechnąć, słysząc to oczywiste kłamstwo - i tak wiedziała, że Zach czuł się tak samo mocno związany ze swoimi dwoma braćmi jak oni z nim. Pomyślała, że pewnie nie podejmowałiby się tak bardzo, gdyby mogli go teraz zobaczyć. Bardzo zmienił się od przyjazdu tutaj, zwłaszcza podczas ostatniego tygodnia. Przychodziła tu prawie codziennie, czasami z Mellie, czasami sama. Wyciągała go na rozmowy i spacerów wzdłuż plaży, na wypadki do miasta, przynosiła mu swojej roboty zapiekanki i ciasta. Zawsze kłócił się o to, ale bez trudu odkryła, że łatwo było nim manipulować. Wystarczyło tylko okazać, że robił jej wielką przykrość, a on za każdym razem dawał się na to nabrać.

W rezultacie Zach przybrał na wadze, znikły cienie pod oczami. Był też wyraźnie ożywiony i w lepszej formie. Wciąż nie mogła nadziwić się zmianie jego wyglądu po ogoleniu brody i obcięciu włosów. Każda kobieta musiała zwrócić uwagę na te regularne, męskie rysy, wyraźnie zarysowany podbródek i ciemne, gęste włosy... a ona przecież nie była „każdą” kobietą, tylko kimś, komu zależało na nim, kto pamiętał, jaki był wyczerpany, zagubiony i zły, kiedy tu przyjechał. Kimś, kto głęboko i beznadziejnie się w nim zakochał. Ale on o tym nigdy się nie dowie.

- W czym utknąłeś po same uszy? - spytała, wskazując głową stos leżących przed nim papierów.

- Ach, to te wszystkie dokumenty, które wciąż odkładam... - Już wcześniej zauważył, że Kirstin stoi w drzwiach, ale teraz dopiero naprawdę jej się przyjrzał. - Rany boskie, gdzieś ty była?

Wiedziała, że ma całe zakurzone ręce i kolana, ale

okazało się, że na dodatek we włosach utkwіło pełno pajęczyny. Wcale się tym nie przejmowała.

- Odkryłam strych - oznajmiła z dumą.
- To widać.
- Ale pewnie nie wiesz, że tam są skrzynie.
- Skrzynie? Skąd miałbym o tym wiedzieć?

- Chyba z dziesięć. Wszystkie zamknięte. Widzę, że jesteś zajęty, a nie chciałabym wsadzać nosa w sprawy dotyczące twojej rodziny... - zaczęła chytrze.

- Nie kłam. Znam ten twój wzrok, umierasz z ciekawości, co się w nich znajduje.

- Chyba tak - przyznała, uśmiechając się promiennie. - A więc nie masz nic przeciwko temu, że do nich zajrzę? Zamki wyglądają na dość prymitywne i jestem pewna, że jak wezmę łom, to uda mi się je poluzować...

Błyskawicznie opuścił nogi na podłogę, aż część papierów sfrunęła z biurka.

- Łomem? O nie, tego już za wiele. Idę z tobą.

- Ależ Zach, nie trzeba. Naprawdę nie musisz obawiać się o te zamki, będę bardzo ostrożna.

- Ja się nie obawiam o żadne pieprzone zamki, tylko o twoją skórę. Nie obraż się, ale pomyśl, żebyś sama poszła z łomem na strych, każdego przyprawi o atak serca. Chodź. Chcę mieć to szybko za sobą.

Okazało się jednak, że otworzenie skrzyń nie jest wcale takie proste. Godzinę później - a może dwie, Kirstin zupełnie straciła poczucie czasu - wciąż byli na strychu. Małe okienka nie przepuszczały zbyt dużo światła i trzeba było przynieść latarkę oraz świece. Zach otworzył łomem wszystkie dziesięć skrzyń. Z kątów zwisały grubo pokryte kurzem pajęczyny, wiatr wył w szparach, ale, jak dotąd, tylko Kirstin była zachwycona rzeczami, jakie co chwila ukazywały się ich oczom.

- A co to jest, na Boga?

- Nigdy nie widziałeś „wesołej wdówki”?

Zach przyglądał się w świetle świeczki trzymanym w ręce fatałaszkom.

- No cóż, mogę łatwo sobie wyobrazić, że facet został wdowcem po tym, jak jego żona udusiła się w tym narzędziu tortur. A to co?

- To chyba nazywa się krynolina.

- Raczej przypomina kojec dla drobiu. Czy możesz wytłumaczyć mi, jaki był powód, dla którego kobiety to nosiły?

- Pragnęły wyeksponować swoje kobiece kształty.

- Ależ to szaleństwo. Czy one mogły w ogóle siedzieć? Albo chodzić? Przecież w czymś takim chyba nie można oddychać?

- W tobie nie ma ani krzty romantyzmu. Przecież to jest bielizna z czasów wiktoriańskich. Powinieneś być zauważyć te koronki, satynowe różyczki, francuskie szwy. - I roześmiała się, widząc jego zdezorientowane spojrzenie.

W końcu jednak zaczęło go to bawić. Połowa skrzyń wypełniona była ubraniami i innymi pamiątkami z dawnych czasów. A dwa następne kufrы zawierały przyrządy żeglarskie, podniszczone pergaminy, lunety i dawne ubrania przeciwdeszczowe.

- Czy już myślałeś o tym, co zrobić z tym wszystkim? - spytała.

- Niech bracia zdecydują, ale chyba wiem, co powiedzą. Trzeba to powyrzucać. Z wyjątkiem paru rzeczy, reszta to śmieci.

- Uhm. - Pogładziła palcami zniszczony ornament na ramie obrazu. Myślała inaczej, ale może rzeczywiście to wszystko miało tylko wartość sentymentalną dla kogoś, kto kiedyś to posiadał. - Czy nie uważasz, że to wszystko jest niesamowite? Nie mówię o rzeczach

w skrzyniach, ale o tym, co zostało w tym domu - meblach, naczyniach, pościeli. Odnosi się wrażenie, że ktoś wyjechał na wakacje i może w każdej chwili wrócić. To należało do twojego dziadka, prawda?

- Tak było napisane w testamencie - odparł, grzebiąc w skrzyni z żeglarskim wyposażeniem. - Nikt nie wie, od jak dawna był właścicielem tego domu. O ile mi wiadomo, nigdy nie przebywał w tych stronach. Dorobił się majątku dzięki kopalni srebra, dość dawno temu. Każdej jesieni wyjeżdżał na miesiąc samotnie w góry, żeby tam polować. Jeśli zmieniał plany i zamiast w góry przyjeżdżał tutaj, to nikt się tego nie domyślał. Nie wiedzieliśmy nawet, że ma tę posiadłość.

- Wszystko owiane tajemnicą - wyszeptała. - Nie intryguje cię to?

- Tu jest pełno damskich rzeczy - powiedział Zach, wruszając w roztargnieniu ramionami. - Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że romansował na potęgę. Rozwodził się cztery razy - to chyba niezły wynik. W naszej rodzinie żaden mężczyzna nie miał szczęścia do kobiet, widocznie to jakaś wada genetyczna. Albo zadajemy się z niewłaściwymi kobietami, albo jakoś nie potrafimy utrzymać tej, która rzeczywiście na to zasługuje. - Podniósł głowę, popatrzył na Kirstin i szybko odwrócił wzrok. Zdała sobie sprawę, że chociaż chciał, żeby odebrała to jako żart, w jego wzroku nie było wcale uśmiechu. Widziała w nim coś, co sprawiło, że ścisnęło się jej serce... ale nagle widok za oknem przykuł uwagę Zacha, który zerwał się raptownie na równe nogi.

- Rany boskie, widziałaś, co się dzieje?

Podbiegła do niego i wyjrzała przez zakurzone okrągłe okno. Boże, przecież kiedy wyjeżdżała z domu, pogoda była bardzo dobra. A teraz nad Atlantykiem



kłębiły się chmury czarne jak sadza i padał śnieg tak gęsty, że całkowicie zacięrał widoczność.

- Mellie jest w domu z twoim ojcem?

- Tak.

- To dobrze. Ale teraz musisz zbierać się jak najszybciej. Do diabła, nie podoba mi się ten wiatr, a droga pewnie już jest zawiana śniegiem. No szybko, ruszaj się, zostaw to wszystko.

Spieszyła się, ale nie na tyle, by go zadowolić. Poganiał ją bez przerwy, znalazł kurtkę, chwycił jej skrzynkę z narzędziami i torebkę. Nie wątpiła, że bardzo przejmuje się pogorszeniem pogody, ale widziała też, że stara się unikać jej wzroku. Pewnie uznał, że znów za bardzo pozwolił jej się zbliżyć. Tam na strychu świetnie się bawili i przestał się pilnować.

- Masz kluczyki od samochodu?

- Tak.

Wiedziała, że Zach niedługo stąd wyjedzie. Zrozumiała, że nie podziela nawet odrobiny jej uczuć. Miała świadomość, że byłby to prawdziwy cud, gdyby coś ich mogło połączyć. Ale miała przecież Mellie i życie pełne obowiązków. Tyle że żaden inny mężczyzna nie sprawił, że jej serce waliło jak młotem, nigdy nie czuła, że dłonie jej wilgotnieją z podniecenia. I bolało ją to, że Zach tak bardzo chciał się od niej uwolnić. Otworzył raptownie drzwi i stanął, widząc, co dzieje się na zewnątrz.

- Do diabła. - Przesunął ręką po włosach. - Nie wiem, czy mogę ci pozwolić jechać.

- Wszystko w porządku. Nic mi się nie stanie. To tylko parę kilometrów, a ja przez całe życie jeżdżę w taką pogodę. Nie masz się czego obawiać.

Zrobiła tylko pierwszy krok na ganek, a wiatr uderzył ją w twarz kłującym żądłem śniegu. Nie

pierwszy raz widziała burzę śnieżną zaczynającą się niespodziewanie, ale ta była naprawdę straszna. Przez miotany dzikim wiatrem śnieg nie widziała niczego na pół metra przed sobą, a po kilku krokach zorientowała się, że pod warstewką śniegu kryje się lód. Zach wciąż stał w otwartych drzwiach i patrzył na nią.

- W porządku - powtórzyła, przekrzykując wycie wiatru. - Wracaj do środka. Naprawdę nic mi nie będzie. Zobaczmy się we wtorek.

O cholera. Musiał zobaczyć, jak poślizgnęła się i o mało nie runęła jak długa, z trudem łapiąc równowagę.

- A niech to wszyscy diabli! - Wskoczył na zewnątrz tak jak stał, bez czapki, bez kurtki. - Wracaj w tej chwili, nigdzie nie jedziesz.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Ledwo zdążył wciągnąć ją do domu, kiedy zadzwonił telefon. Rzucił jej torebkę na stół i chwycił za słuchawkę.

- To twój ojciec.

Kirstin ściągnęła czapkę i podniosła słuchawkę do ucha, przez cały czas patrząc na niego z lękiem.

- Nie, tato. Przepraszam, że się denerwowałeś. Pracowaliśmy i straciłam poczucie czasu. Nie zauważyłam po prostu, że nadchodzi burza... wielkie nieba, naprawdę będzie tak źle? No cóż, Zach też jest trochę niepokojny o mój powrót do domu, ale przecież to nie sto kilometrów. Nawet jeżeli będzie trochę ślisko...

Zach bez słowa wyjął jej z ręki słuchawkę.

- Pan Stone? Tu Zach Connor. Wcale nie jest „trochę ślisko”, podjazd jest jak lodowisko, a na drodze będzie jeszcze gorzej. Gdyby musiała koniecznie wrócić do domu, to ją zawiozę, ale skoro pan może zająć się Mellie, to chyba najrozsądniej będzie, żeby została, aż skończy się śnieżyca. Tak, oczywiście, w zupełności się z panem zgadzam... Może niech pan spróbuje przemówić jej do rozsądku, dobrze?

Kirstin porozmawiała jeszcze chwilę z ojcem i następnie z córką, a potem z westchnieniem odłożyła słuchawkę.

- W trójkę zawsze mnie wykiwacie.

- Mam nadzieję, że nie oczekujesz wyrazów współ-

czucia - powiedział, wieszając jej kurtkę na wieszaku obok swojej. - Trafiła kosa na kamień. Ty zawsze wodzisz za nos wszystkich wokoło.

- Ja?

- Tak, ty. - Ruszył do kuchni, ale nagle odwrócił się i uśmiechnął kpiąco. - Boże, wyglądasz jak straszny dło. Pajęczyny we włosach, cała w kurzu i w brudzie.

- O cholera. - Spojrzała na swoje ręce. - Tak oto ginie reszta mojego blasku i czaru.

- Wie pani, pani Grams - odrzekł śmiejąc się - jeśli czegoś najbardziej nie znoszę, to blasku i czaru. Zrobię coś na kolację - dodał, już poważniej. - Umieram z głodu i ty chyba też. Potem pewnie będziesz chciała wziąć prysznic. Najlepiej skorzystaj z tej łazienki obok mojej sypialni. Myślę, że znajdziesz jakiś czysty dres i skarpetki w komodzie.

- Zach... - zaczęła. To wszystko przebiegało dla niej zbyt szybko. Wciąż czuła się niezręcznie, że została z nim w tym domu.

- Możesz spać w moim pokoju. Tam jest kominek, a więc powinno ci być ciepło.

- Nie będę zabierała ci twojego łóżka - odparła stanowczo, ale Zach dzisiaj był niewzruszony jak skała.

- Ja prześpię się na dole. Nie masz czym się przejmować, z tą kanapą w salonie znamy się od dawna. Będę na innym piętrze, więc nie potrzebujesz się denerwować, że znajdziesz się sam na sam ze mną.

- Zach, przecież nigdy się czymś takim nie denerwowałam. Ja ci ufam.

Wydawało jej się, że usłyszała mruknięcie „wiem o tym, do cholery”, ale może się pomyliła - Zach właśnie z hałasem otwierał lodówkę i zamrażarkę.

- Co byś chciała? Udka kurczaka, mrożoną pizzę,

a może jakąś specjalność zakładu? - uniósł brwi w udanym wyczekiwaniu.

Chcąc nie chcąc, musiała się rozeźmiać.

- Najlepiej coś, do czego zużyjemy najmniej naczyń.

- Dokładnie o tym samym myślałem.

Zach poszedł na górę zanieść drzewo do kominka, a ona włożyła jedzenie do piekarnika. Zjedli potem na tekturowych talerzach, opłukali sztućce oraz szklanki i w ten sposób mieli z głowy zmywanie. Zach podtrzymywał rozmowę, ale Kirstin czuła, że robi to na siłę. Był bardzo spięty. Uważała, żeby go nie dotykać, żeby nawet nie spoglądać na niego ukradkiem. Domyślała się, że w towarzystwie kobiet zachowuje się niepewnie, i nie chciała, żeby tak było, gdy był z nią, a jeszcze bardziej nie chciała, by myślał o niej jako o uciążliwym gościu. Musiała coś zrobić, żeby uczynić tę sytuację znośniej szą. Powoli odwiesiła ścierkę do naczyń. Przeciągnęła się leniwie i ziewnęła szeroko.

- Wiem, że jeszcze jest wczesnie, ale muszę przyznać, że jestem skonana. Chyba wezmę prysznic i pójdę spać.

- Rozumiem, miałaś dzisiaj dużo pracy - powiedział z wyczuwalną ulgą. - Tylko nie zapomnij, że powinnaś pójść do tej łazienki obok mojej sypialni.

- W innych wciąż grasują duchy? - spytała kpiąco.

- Powiedzmy raczej, że tam na pewno nie będą cię niepokoić.

- Ale ja naprawdę nie boję się duchów, za to krępuje mnie pozbawianie cię sypialni.

- Wciąż chcesz się o to kłócić? Ja nie kłamię, naprawdę lubię spać na tej kanapie. Będzie mi bardzo dobrze. Pewnie nawet cieplej niż tobie.

Nie wierzyła w to, bo gdy zamknęła za sobą drzwi

od jego sypialni, poczuła się jak w ciepłutkim kokonie. Na zewnątrz szalała burza, ale tutaj Zach pozyciogał aksamitne kotary, zapalił lampę przy łóżku, a w kominiku strzelał wesoło ogień. Było tak ciepło, że można by chodzić nago, zaś na wielkim łóżu dałoby się wykonywać ćwiczenia akrobatyczne. To znaczy niekoniecznie akrobatyczne, pomyślała i szybko odwróciła wzrok od łóżka. Bardzo się starała jak najmniej myśleć o Zachu.

Ściągając przez głowę sweter, doszła do wniosku, że ma znikome szanse, żeby udało jej się zasnąć w jego łóżku. Ale mogła przynajmniej cierpieć na bezsenność umyta. Łazienka była wielka, cała wyłożona śnieżnobiałą glazurą i czerwono-różowym fajansem. Słysząc było przeróżne szумы - grzejnik trzeszczał, usiłując sobie poradzić ze stale opadającą temperaturą, w szparach okiennych wściekle świstał wiatr. Szybko zdjęła z siebie resztę ubrania i odkręciła kran. Za chwilę całe pomieszczenie wypełniała gorąca para, a Kirstin stała pod prysznicem, myśląc o tym, że oto jest w łazience Zacha, myje się jego mydłem i szamponem. Zastanawiała się, jakie to byłoby uczucie, gdyby stała przed nim naga, ukazując mu swe piegowate i tak bardzo niedoskonałe ciało. Ciekawa była, czy już brał kiedyś prysznic razem z kobietą i jaka to musiałyby być kobieta, żeby Zach pozbył się swoich zahamowań i rezerwy. Nie taka jak ona, tego była pewna.

Wyszła spod prysznica lśniaca od czystości i owinęła się ręcznikiem. Wzięła drugi i właśnie osuszała nim włosy, kiedy zgasło światło. Może to awaria związana z burzą śnieżną, a może archaiczna domowa instalacja znów płata figle? Cokolwiek było tego przyczyną, w łazience zapanowały egipskie ciemności. Po omacku

sięgnęła do klamki i przeszła do sypialni. Odblask kominka z trudem przedostawał się przez ciężki, metalowy parawan osłaniający ogień. Zdjęła ręcznik z głowy i wyteęzała wzrok w ciemności, szukając komody, gdzie miały znajdować się te dresy. Zobaczyła stare, ogromne krzesło w kształcie tronu, tylko zapomniała, że ma ono wystające nogi, zakończone wielkimi łapami. Zawadziła boleśnie stopą o sterczącą krawędź i potknęła się. Palec u nogi przeszył ostry ból. Usiłując złapać równowagę, chwyciła ręką za staroświecki składany parawan do przebierania się, który zachwiał się i zakołysał, a potem runął z hukiem. Prosto na nią.

Przez chwilę była jak ogłuszona. Wszystko stało się tak szybko. Parawan nie był bardzo ciężki, tyle że duży i nieporęczny. Zanim zdołała jakoś zebrać myśli, usłyszała tupot butów po schodach i trzaśnięcie otwieranych gwałtownie drzwi.

- Co ci się stało?

- Nic, nic. Wszystko dobrze - wyjąkała w odpowiedzi.

Światło latarki zatańczyło po całym pokoju, by w końcu, bezlitośnie jak promień lasera, utkwic w jej poblądłej twarzy.

- No jasne. O Boże!

W dwie sekundy był już przy niej i podniósł przewrócony parawan, chociaż Kirstin wolałaby zostać pogrzebana pod nim na zawsze. Palec u nogi bolał ją okropnie, miała stłuczoną kość ogonową i pomyślała, że oto straciła resztki godności. Zdała sobie sprawę, że jest półnaga, przepasana tylko ręcznikiem w talii, i szarpnęła go w górę, żeby zakryć piersi.

- Możesz przez chwilę się nie wiercić? Nie ruszaj się.

- Zach, jeśli uszkodziłam twój parawan... o Boże, przecież to cenny antyk... to chyba dostanę apopleksji.

- Myślisz, że mnie obchodzi jakiś cholerny parawan. Przestań się wreszcie kręcić, do cholery.

Odepchnął to dwutonowe krzesło i przyklęknął przy niej. Wszelka dyskusja byłaby stratą czasu - najwyraźniej był zdecydowany zbadać, jakich doznała obrażeń. Najpierw głowa. Jego palce delikatnie przeczesywały wilgotne włosy, szukając guzów czy krwawiących miejsc. Mogła mu powiedzieć, że każde miejsce, gdziekolwiek dotykał, było bardzo wrażliwe. Siedzenie przestało ją boleć i zapomniała o palcu u nogi. Jego dłoń przesunęła się najpierw po lewej, a następnie po prawej nodze, zostawiając na niej naelektryzowany erotyzmem ślad. Wiedziała, że takie odczucia zupełnie nie odpowiadają sytuacji, ale nie mogła powstrzymać fali gorąca, która ogarniała całe jej ciało. Miała rozpaczliwą nadzieję, że on tego nie wyczuje.

- Zach?

- Tak?

- Już naprawdę mam dosyć tej mojej niezgrabności. To takie upokarzające i żenujące. Pewnie mi nie uwierzysz, ale jestem najwyższej klasy specjalistką od analiz komputerowych. Kompetentną i opanowaną. Tylko w codziennym życiu mam takie problemy...

- Skarbie, ty nie jesteś wcale niezgrabna. Po prostu światło nagle zgasło, zrobiło się ciemno i na dodatek byłaś w nieznanym pokoju. To mogło przytrafić się każdemu. Czy to cię boli?

Ból był ogromny, ale nie miał nic wspólnego z obrażeniami. Zach zniżył głowę i patrzył na nią, szukając w wyrazie jej twarzy powodu, dla którego nagle się wzdrygnęła. Gardło miała wyschnięte jak pustynia, ale nie była w stanie przestać mówić.



- Nie, nie boli... i dziękuję, że tak się o mnie troszczysz, ale to próżny wysiłek. Nie wiem, czy jest jeszcze na świecie jakaś kobieta, która nabijałaby sobie tyle guzów co ja. Na pewno te, które znałeś, były wyrafinowane, pełne wdzięku i świetnie zorganizowane. A nie niezdarą. Ofermy. Tak jak ja.

- Ty nie jesteś niezdarą.

- Właśnie że jestem.

Zach nagle zaklął szorstko pod nosem. Nie miała pojęcia, dlaczego ta dyskusja miałaby doprowadzić go do kresu wytrzymałości. Myślała, że w końcu upewnił się, że ma całe kości, i teraz sobie pójdzie. Zamiast tego przysunął się bliżej. Przez ułamek sekundy widziała z bliska jego oczy, błyszczące w blasku ognia jak czarne diamenty. Przeniósł wzrok na jej usta, a potem, z tłumionym westchnieniem, przycisnął do nich swoje wargi. Pocałunek sprawił, że serce Kirstin zaczęło trzepotać jak pijany motyl i odniosła szaleńcze wrażenie, że oto razem spadają z urwiska.

Nie wiedziała, że on jej pragnie. Naprawdę nie miała o tym pojęcia. Owszem, już przedtem bywały momenty, kiedy czuła, że jest podniecony, ale tylko wówczas, gdy sama prowokowała kontakt. Wiedziała, że to tylko hormony, że potrzebował kobiety, ale nigdy w życiu nie uwierzyłaby, że chodzi o nią. A oto teraz całował ją jak ktoś, kto rzuca na szalę najbardziej intymne odczucia. Całował ją tak, jakby miał umrzeć, gdyby próbowała go powstrzymać. Całował ją tak, jakby niczego nie pragnął oprócz niej, właśnie jej i tylko jej, i nic na tym świecie nie było ważniejsze niż jej usta. Głowę miała unieruchomioną w zgięciu jego łokcia, dłońmi wciąż ścisnęła brzeg ręcznika. Nie mogła się poruszać, a on pokrywał pocałunkami jej długą szyję, zagłębiecie przy obojczyku i znów wrócił

do ust. Jego wargi pocierały, smakowały, chłoneły i w końcu ponownie przylgnęły do jej warg. Czuła, że brakuje jej tchu. Jemu chyba też, bo wreszcie po straszliwie długiej chwili podniósł głowę.

- Masz rację w jednej sprawie. - Zwykle dźwięczny, wibrujący głos był teraz niski i szorstki. - Jesteś inna niż wszystkie znane mi kobiety. Nigdy nawet nie spotkałem takiej, która byłaby choć w połowie tak niebezpieczna dla mnie jak ty. Do cholery, Kirstin, powstrzymaj mnie. Powiedz „nie”. Musisz to powiedzieć.

Nie spodziewała się tego. Nie spodziewała się, że będzie musiała podjąć decyzję, przynajmniej nie dzisiaj. Cała drżała z przerażenia, chociaż nie miała wątpliwości, nie tylko co do swoich uczuć, ale i co do tego, że jej życie od tej chwili nie będzie już takie samo jak przedtem.

- Tak - wyszeptała.

- Kochanie, to była zła odpowiedź.

- Tak - powtórzyła, tym razem wyraźniej, ośmielona tęsknotą, jaką ujrzała w jego wzroku. Tęsknota, samotność, jakaś nić emocjonalnej więzi... Czuła, że jej serce uderza w tym samym rytmie, a przecież jeszcze nigdy jej nie okłamało. Tyle że tym razem ryzykowała tak wiele i nie mogła nie czuć lęku.

Pochyliła się ku niemu i kiedy znów zaczęli się całować, cały strach zniknął. Zach przecież też ryzykował. Czuła, jak drżą mu palce przeczesujące jej włosy. Mięśnie ramion miał napięte, a w jego oczach ujrzała bezbronność. Widać było, że dla niego to zupełnie nowe uczucie i wyraźnie nie wiedział, co ma w związku z tym począć.

- Przysięgałem sobie, że już cię nie dotknę. Przysięgałem, że nie dopuszczę, żeby to się stało. Nie chcę, żebyś czegokolwiek żałowała.

- Nie będę.
- Nie chcę, żebyś cierpiała.
- Nie będę.
- Nie mogę ci nic obiecać.
- O nic cię nie proszę.
- Mam tu gdzieś coś... nie mogę ryzykować, żebyś... Do cholery, nie myśl, że ja to sobie zaplanowałem, bo tak nie było. Po prostu zostałem nauczony, że mężczyzna, kiedy tylko skończy osiemnaście lat, powinien zawsze mieć ze sobą prezerwatywy. Wcale o tym nie myślałem...

- Zach - przerwała mu cicho - za dużo mówisz. Niepotrzebnie się denerwujesz. Przy mnie nie musisz się denerwować.

Po słowie „denerwować” Zach na chwilę zamarł w bezruchu. Kirstin chciała sama siebie kopnąć za taką nietaktowną uwagę. Chciała go uspokoić, a nie zranić jego męską dumę. Żaden mężczyzna nie lubi, kiedy uważa się go za nerwowego czy niedoświadczonego, ale rozumiała, skąd brała się jego niepewność. Nie sądziła, że on nigdy nie był związany z żadną kobietą, ale, na Boga, to przecież ona wcześniej miała męża, a on nigdy nie był żonaty. Miała duże doświadczenie, więc oczywiste było, że powinna taktownie go poprowadzić.

- Kochanie? Nie wiem, skąd przyszło ci do głowy, że jestem zdenerwowany, ale jeśli z jakichś powodów myślisz, że nie wiem, co ro...

- Ciii...

Kirstin puściła wreszcie ręcznik i to zakończyło całą rozmowę. W następnej sekundzie była w jego objęciach. Poniósł ją do drzwi, by zatrzasać je nogą... do komody, gdzie po omacku przeszukał szufladę... i w końcu do łóżka. Puścił ją i opadła na grube,

puchowe materace. Za chwilę pofrunęła gdzieś jego bluza, a on sam niemal natychmiast znalazł się obok Kirstin. Przeszedł ją dreszcz, gdy nagich piersi dotknęły szorstkie, gęste włosy. Jego bliskość niemal paraliżowała jej zmysły, mimo to ze wszystkich sił usiłowała zachować przytomność umysłu. Przecież w każdej chwili mógł potrzebować jej pomocy. W każdej chwili mógł znów się zdenerwować. Pierwszy raz z kimś zawsze przynosi więcej zdenerwowania niż przyjemności i rzeczywistość nie potrafi sprostać oczekiwaniom, zwłaszcza jeśli się czegoś bardzo pragnie, za bardzo. Na pewno będzie dobrze - zrobi wszystko, żeby jemu było dobrze, ale zbyt długo żyje na tym świecie, by teraz oczekiwać, że ziemia się poruszy.

Pokój, dom i cała planeta zawirowały, kiedy pociągnął ją i przykrył swoim ciałem. Gdzieś tam syczał ogień i wył wiatr. Sądziła, że wie wszystko, i nagle okazało się, że nie wie nic. O tym, jak się kochać, o nim samym. Jego dłonie wędrowały po jej talii, biodrach, udach, odkrywały jej ciało, pieściły. Okrywał pocałunkami jej piersi, a one nabrzmiwały pod tym dotykiem. Jedwabście wilgotny, ciepły język lizał i łaskotał jej skórę.

Wzrok miał tak gorący, że mógłby chyba roztopić srebro. Nigdy przedtem tak na nią nie patrzył. Na czole Zacha perliły się kropelki potu, węzły mięśni na szyi lśniły jak złoto. Jego skóra parzyła, serce biło tak szybko...

Szorstki materiał dżinsów ocierał się o jej miękkie ciało, a ona wyprężyła się pod tym dotykiem. A potem znowu obsypał ją deszcz pocałunków - zmysłowy, palący jak ogień. Nie mogła złapać tchu, Zach nie pozwalał jej na to. Jego dłonie wędrowały po całym ciele, drażniły czubki piersi, aż stały się twarde i boles-

ne, usta wciąż wracały do jej ust. Chyba była szalona, myśląc, że jest niedoświadczony. Wiedział więcej o zmysłowości, niż jej się kiedykolwiek śniło, wyglądało na to, że znał lepiej jej ciało niż ona sama.

Jednak było w nim coś niewinnego. Nie czuła w jego zachowaniu niczego wyuczonego, żadnego wyrachowania. W czułości dotyku była potrzeba dawania, a nie brania. Twarz mu pociemniała z koncentracji, ale malowała się też na niej wrażliwość i obawa, że gdyby ją zawiódł, gdyby nie mógł jej zaspokoić, stałoby się coś strasznego. Tak jakby jedyną liczącą się rzeczą w tej ciemnej otchłani nocy, jedyną rzeczą, której mógł się uchwycić, była ona. Nie wiedziała, co może zrobić - przy nim nigdy nie wiedziała, jak postąpić, poza tym, żeby go kochać. Oddawała pocałunek za pocałunkiem. Jej ręce głaskały i pieściły ciało Zacha, mówiły mu, jak go pragnie, jak potrzebuje. Dotyk, dźwięk, zapach - wszystko połączyło się w jedno zmysłowe wrażenie. On był tym wrażeniem, on zaprowadził ją tak daleko, że obawiała się, iż spłoną, zanim ogień naprawdę wybuchnie. Pościel na łóżku była zmięta, koce zrzucone. Ich dłonie spotkały się na klamrze od jego paska i jakby zmagaly się, kto ma ją odpiąć. Chociaż Zach był ogromnie podniecony, nagle roześmiał się... więc i ona zaczęła się śmiać. W śmiechu tym zawierało się całe bogactwo intymności i oczekiwania. Nagle jego twarz spoważniała.

- Kirstin... nie chcę cię skrzywdzić. Jeszcze mogę się powstrzymać.

- Może gdyby ten dom stanął w ogniu, to ja też bym potrafiła się opanować, ale w tej chwili nie umiem tego zrobić. Gdzie, do diabła, jest ta cholerna paczuszka?

- Kochanie, ty wcale nie pomagasz mi się opanować.

- To dobrze. Nie wyobrażam sobie, żeby komuś z nas było potrzebne to twoje opanowanie. A jak chcesz w czymś pomóc, to zrób coś z tymi swoimi dżinsami. Jestem przekonana, że przez pewien czas nie będą ci potrzebne. Kocham cię.

Chciała to wszystko powiedzieć żartobliwym, lekким tonem, ale te dwa spontaniczne słowa wyrwały jej się niechcący i zmieniły wiele. Zach objął jej twarz dłońmi i znów pocałował - żarliwie, namiętnie - jakby, pomimo swojej niechęci, odpowiadał na głębię uczuć, którą wyczuł w jej głosie. Zostawił jej zmaganie się z dżinsami, co bez jego pomocy było niewdzięcznym i trudnym zadaniem. Kiedy już zdjęła mu spodnie, nie miał żadnych problemów z przypomnieniem sobie, co teraz należy zrobić. Podobało mu się dotykanie nagą skórą jej delikatnego ciała. Podobało mu się pieszczczenie jej. Podobało mu się wszystko, co czyniło jej ciało posłusznym, i bezlitośnie ją w tym upewniał. Nie pamiętała już o strachu, że mógłby sprawić jej ból. Głupim strachu. Była teraz gotowa na jego przyjęcie, on już o to zadbał. Wziął ją, szepcząc uspokajające, łagodzące słowa, które były zarazem pieśnią miłości, pieśnią o długiej tęsknocie. Czuła, że zna tę muzykę, tylko o tym nie wiedziała, a teraz na zawsze już kojarzyć jej się będzie ona z Zachem. I tylko z nim. Muzyka miała rytm uderzeń jej serca. A kiedy tempo się wzmogło, poczuła, że ogarnia ją ekstaza, i nie mogła nic zrobić, by powstrzymać się przed ponownym wyszeptaniem słów: „Zach, kocham cię”.

Nie mógł spać. Do diabła, może już do końca życia nie uda mu się zasnąć. Przestał na chwilę krążyć po

ciemnej sypialni i spojrzął za okno. Burza w końcu ucichła. Wiatr usypał ogromne śnieżne zasy i teraz noc była niezwykle cicha. Po niebie jak z czarnej satyny płynął okrągły księżyc. Wymarzona sceneria dla kochanków, pomyślał i odwrócił się, żeby popatrzeć na Kirstin. Leżała w jego łóżku, tuląc się do jego podeszki, a spała snem mocniejszym niż wyczerpany całodziennym bieganiem szczeniak. Potarł się dłonią po karku i pomyślał, że Kirstin ma prawo spać tak głęboko po tym, co zaszło.

Tak naprawdę wciąż nie był pewien, jak to się stało. Najpierw zaczęła mówić o swojej niezręczności, o tym, że czuje się jak ofierma, a w nim coś pękło z siłą potężną niczym trzęsienie ziemi. Kirstin była nie tylko piękna, ale była też najwspanialszą i najlepszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, i nagle stało się dla niego straszliwie ważne, żeby jej to jakoś powiedzieć. Pragnął tyle jej wyznać, a w końcu, zamiast tego, pocałował ją. Wtedy to wydawało mu się najlepszym wyjściem z sytuacji. Wciąż zresztą tak uważał. Każdy mężczyzna przyznałby, że rozumował logicznie. Nie spodziewał się jednak, że przez to straci panowanie nad sobą. Dlaczego sądziła, że on jest niedoświadczonym kochankiem? A potem powiedziała, że go kocha. Zdenerwowała go. Denerwowała go i wprawiała w zakłopotanie od pierwszego dnia, kiedy się spotkali. Przez nią doznawał uczuć, których nie doświadczał nigdy przedtem. Przez nią poczuł się jak ktoś wart miłości, a potem, gdy wpadła w jego ramiona... Boże, z radością oddałby za to duszę i nigdy by tego nie żałował. Żaden mężczyzna nie oparłby się jej, uważał więc, że miał usprawiedliwiony powód, żeby stracić panowanie nad sobą... za pierwszym razem.

Znów rozmasował sobie kark. Prawdę mówiąc, ten

drugi raz zdarzył się z jej winy. To Kirstin była temu winna. Oboje byli zmęczeni i śpiący. Leżała tuż przy nim i nagle zaczęła go łaskotać. A przecież akt miłosny to rzecz jak najbardziej poważna. To sprawdzian dla mężczyzny, miara jego męskości, umiejętności, zręczności. Nie ma tu miejsca na dziecięce igraszki. A ona odkryła wrażliwe miejsce na jego ciele pod trzecim żebrem, przysunęła się bliżej i zaczęła go łaskotać. Musiał ją przytrzymać, unieruchomić, inaczej przecież by nie przestała. Skończyło się na tym, że znów zaczął ją całować. Sama się o to napraszała. To rozchylenie ust, lśniąca oczy, te niespokojne ruchy biodrami... sama prosiła się o kłopoty, błagała o nie, przez nią to wszystko się stało. To dlatego nie mógł być taki, jak sobie obiecał. A przecież przysięgał, że już jej nie dotknie.

Z niecierpliwością chwycił latarkę i boso poszedł do drzwi. Nie mógł... już nie mógł dłużej tu zostać. Jak tylko zamykał oczy, zaczynał słyszeć tę muzykę. Dźwięki, akordy, całą melodię, która związana była z Kirstin. Za jakiś czas spróbuje te dźwięki zapisać, ale tylko po to, żeby udowodnić sobie raz na zawsze, że żadnej muzyki nie było. W tej chwili był zbyt niespokojny i roztrzęsiony, żeby w ogóle móc o tym myśleć. Po cichu otworzył drzwi i wyszedł. Ledwo zdążył je zamknąć za sobą, kiedy uświadomił sobie, że nie jest sam.

- Tak, nie muszę nawet pytać, jak ci poszło, chłopcze. Wyglądasz na zmarnowanego. Na plecach masz takie ładne zadrapania i zdaje się, że ta kobietka ugryzła cię w ramię. A nie mówiłem ci, synu, że z nią to będzie coś specjalnego?

- Jock, zamknij się.

- Nie chcesz zdradzić mi trochę szczegółów?



- Nie.

- W końcu między nami, mężczyznami... Mógłbym podrzucić ci parę pomysłów w tej materii. Dokąd pędzisz w takim pośpiechu?

- Do szafki z bezpiecznikami. Już od paru godzin nie ma światła. Może to wina burzy, ale z drugiej strony przewody elektryczne w tym domu są takie stare, że... - Zach nagle rozejrzył się wokoło. - Jock, ale ty chyba tam nie grzebałeś?

Tak jak należało tego oczekiwać, w mrocznym przedpokoju nie było nikogo i nie padła żadna odpowiedź. Zach szedł po schodach do kuchni, a potem do spiżarni, gdzie znalazł jeden z bezpieczników stojący sobie spokojnie na podręcznej półce. Włożył go na miejsce i wrócił do schodów, by zajrzeć na górę. Padała stamtąd słaba poświata, co oznaczało, że jest znów prąd. Zaczął powoli wchodzić na górę, a wtedy okazało się, że ten drań znowu jest przy nim.

- I co, chłopcze, powiedziałaś jej?

- Nie wierzę, że to ty wyjąłeś bezpiecznik. Nie wierzę w to. I niby co miałbym jej powiedzieć?

- Czy powiedziałaś jej, że ją kochasz?

W gardle uformowało mu się coś wielkiego, trudnego do przełknięcia. Mało brakowało, a byłby jej to powiedział. Kiedy tak leżała przy nim, z rękami oplecionymi wokół jego szyi, a w jej oczach błyszczało tyle miłości, te słowa prawie już mu się wymknęły. A z nimi cały ogromny ładunek uczucia, jaki w nich się zawierał.

- Nie - odpowiedział krótko.

- Nie oszukuj się, chłopcze. Nie znajdziesz drugiej takiej jak ona. Nie każdemu trafia się prawdziwa miłość. Byłbyś głupi, gdybyś to odrzucił.

- Co ty możesz o tym wszystkim wiedzieć.

- W takim razie o tym dziecku też jej nie powiedziałaś?

Zach tylko zacisnął z całej siły szczękę.

- Tak, tak, wiem o twoim dziecku. Trochę czasu mi to zajęło, ale domyśliłem się wszystkiego. Męczy cię to w nocy, krzyczysz przez sen. Właściwie nie rozumiem, dlaczego dla ciebie to taki wielki problem. Nie jesteś pierwszym mężczyzną, który spłodził dziecko nie w tym łóżku co trzeba. Ale jeśli ci to tak ciąży na duszy, to po prostu powiedz jej o wszystkim. Ona to zrozumie, zapewniam cię.

Zach nie wierzył w gruszki na wierzbie i również nie miał zamiaru uwierzyć w obietnice ducha. Poszedł na górę, wyłączył światło w przedpokoju i stał tak w ciemności, przed drzwiami sypialni, jakby obawiał się wejść do środka. Rozpaczliwie pragnął uwierzyć, że Kirstin zrozumiałaby... ale wiedział, że to niemożliwe. Sama przecież to powiedziała. Nie ma dla niej w świecie nic cenniejszego niż dzieci. A to, że nie potrafił odzyskać dziecka, przez cały czas ciążyło na jego sumieniu. Poczucie winy nie opuszczało go. Z jakiegoś niewiadomego powodu Kirstin wierzyła w niego, od początku ufała mu i poważała go. Kiedy tu przyjechał, był w cholernej depresji, nawet bliski samobójstwa. Teraz to minęło. Zamknął oczy i rozmyślał o tym, jak zmieniło go spotkanie z Kirstin. Może zaczęło się to od uczuć opiekuńczych - do diabła, należałoby jej pilnować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale później sprawy jednocześnie skomplikowały się i stały się prostsze. Chciał zasługiwać na jej uśmiech, a jej pochwały wiele dla niego znaczyły. Chciał być taki, za jakiego go uważała. Wiedział, że zależało jej na nim. Na razie. Bóg jeden wie, co będzie, kiedy dowie się o jego dziecku.

Odetchnął głęboko. Oczywiście, nie ma sposobu, żeby się dowiedziała... chyba że sam jej powie. Ale w ten sposób mógłby ją skrzywdzić, a ona nie może dojść do przekonania, że popełniła błąd, wiążąc się z nim. Nie powinna wstydzić się za niego, za to, co razem robili, kiedy on już stąd wyjedzie.

A więc nigdy, przenigdy nie wolno mu powiedzieć jej nic o dziecku.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Zach?

Kirstin popchnęła biodrem drzwi, żeby zatrzęsnęły się za nią. Rany, ale tam na dworze było zimno. Postawiła na podłodze skrzynkę z narzędziami, a potem zdjęła czapkę i pokryte zlodowaciałą skorupą rękawiczki. Jej serce załomotało z przejęcia, kiedy usłyszała kroki Zacha.

- Spóźniłaś się! Zaczynałem już się denerwować.

- Och, przepraszam, nie chciałam, żebyś się martwił. W jednym z domów, którymi się zajmuję - u Fergusonów - wiatr wybił szybę. O Boże, co się tam narobiło. W salonie jest pełno szkła, wielka kupa śniegu, a antyczny stół został kompletnie zniszczony. Musiałam zadzwonić do gospodarzy, potem do ich towarzystwa ubezpieczeniowego, sprowadzić szklarzy, żeby naprawili to okno, no i nie mogłam wyjść, dokóci nie skończyli pracy. Na dodatek potem utknęłam w korku. Drogi są jeszcze nie oczyszczone z zasp, a kto żyw uznał, że musi dzisiaj zrobić przedsięwzięcze zakupy...

- Dobrze, dobrze, o co chodzi? Zawsze, kiedy tak mówisz bez przerwy, wiem, że musiało się stać coś złego.

- Nie, nic złego się nie stało.

- Ale coś jest nie tak. W ogóle na mnie nie patrzysz. Odwróć się do mnie.

- Za sekundę. Umrę, jeśli nie dostanę kawy. - Chu-  
chała na dłonie, podchodząc do kuchenki. - Myślałam  
O tym, co tu jeszcze trzeba zrobić. W końcu dom już  
jest w niezłym stanie, prawda? Zostało jeszcze tylko  
parę pomieszczeń, na przykład ogród zimowy, no  
i wciąż nie zdecydowałaś, co chcesz zrobić z tymi  
kufkami na strychu...

- Kirstin...

Poczuła jego dłonie na ramionach i zaraz odwrócił  
ją tak, że musiała spojrzeć mu w oczy. Ten dotyk,  
wyraz jego oczu, twarzy, ust sprawiły, że zaraz krew  
zaczęła pulsować szybciej w jej żyłach. Aż wstyd, że  
obrócił ją z taką łatwością. W podeszłym wieku dwu-  
dziestu dziewięciu lat nie spodziewała się, że spotka  
mężczyznę, przy którym nogi będzie miała jak z waty.  
Ani też, że będzie tak się bała. O Boże, jak bardzo  
była wystraszona.

To, że się kochali, zmieniło wszystko w jej życiu.  
Burza trwała przez dwa dni i większość tego czasu  
spędzili w łóżku. Czy żałowała tego? Nigdy! Dzięki  
niemu czuła się piękna i pożądana. Poczuła się inaczej  
jako kobieta, raczej jak kobieta, jaką mogłaby być,  
jaką być pragnęła. Nigdy go nie kochać? Nie poznać  
go jako kochanka? Gdyby mogła cofnąć czas, raz  
jeszcze pragnęłaby przeżyć wszystko, co się zdarzyło.  
I miała ogromną nadzieję, że on też podziela te uczu-  
cia. Wyrażał przecież miłość na tak wiele sposobów.  
Jednak nie powiedział, że ją kocha, a jej głupie serce  
krwawiło na samą myśl o jego wyjeździe. I nawet  
uśmiech, który teraz pojawił się na jego twarzy, nie  
mógł sprawić, żeby Kirstin przestała cierpieć.

- Wyglądasz dziś jakoś inaczej. Co to? - spytał,  
dotykając delikatnie palcem cienkiej metalowej opraw-  
ki nad brwiami.

- Okulary. - Szkła zaparowały, więc zdjęła je i wytarła, a potem włożyła z powrotem na nos. - W zeszłym tygodniu byłam na badaniu wzroku. Wiesz przecież, jaka ze mnie niezdara. No i okazuje się, że jestem krótkowidzem. Czy nie uważasz, że powinnam była wcześniej zdać sobie z tego sprawę? Ja...

- Czy wreszcie przestaniesz się wiercić? Nawet nie mogę ocenić, jak wyglądasz w okularach.

Nie potrafiła przestać się wiercić. To taka głupia rzecz: próżność. Nigdy przedtem nie padła jej ofiarą, ale Zach jest przecież taki przystojny. Okulary to... to tak jak piegi. Może nie szpeca, tylko po prostu sprawiają, że przy mężczyźnie tak przystojnym jak Zach czuje się jak brzydula.

- Wiem, że wyglądam w nich okropnie. I nie sądzisz, że powinnam mieć na tyle rozsądku, żeby nie wybierać czerwonych oprawek przy takich włosach?

- A mnie się podobają czerwone oprawki. I ty mi się podobasz w okularach. Skoro zaś mowa o twojej niezdarności, to myślałam, że już wcześniej ustaliliśmy, jak to z tym jest.

Wciąż przyglądając się Kirstin uważnie, położył sobie jej ręce na ramionach, a potem uniósł ją i posadził na stole. Ostrożnie zdjął jej okulary i złożył je starannie.

- Mamy dużo pracy - przypomniała.

- Praca może poczekać. T o nie.

Przysunął się bliżej i nagle zrozumiała, po co usadził ją na stole. Dzięki temu ich usta były na tej samej wysokości. A w oczach miał taki wyraz, jaki już przedtem widziała.

- W kuchni? - pisnęła.

- To jedno z niewielu pomieszczeń, w których nie zdążyliśmy tego zrobić w czasie burzy. Ale jeśli nie

chcesz, możesz się wymigać, tylko musisz prawidłowo odpowiedzieć na pytanie w konkursie. Czy pani Kirstin Grams to niezdara, czy też jest najbardziej zmysłową kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, poznałem, czy też o jakiej śniłem?

- Zach... ty nie mówisz tego poważnie.

- Odpowiedź nieprawidłowa, kochanie, i teraz trzeba będzie ponieść karę. Biedactwo, zawsze wpędzasz się w kłopoty. I nie masz co nawet błagać o litość, bo...

Nie dosłyszała dalszego ciągu tych gróźb, bo właśnie zdejmował jej bluzę przez głowę. Protestować też nie mogła, gdyż zaraz potem zamknął szczelnie jej usta swoimi wargami. Nawet nie wiedziałyby zresztą, co powiedzieć, bo od razu zatraciła się w lawinie doznań i nie liczyło się nic więcej. W tym momencie zima zmieniała się w wiosnę, porę kwitnących żonkili i hiacyntów, a ona sama znów była młodziutką dziewczyną i znów miłość była wszystkim i wszystko stawało się możliwe. W takich chwilach czuła, że Zach też ją kocha i musi zdawać sobie z tego sprawę.

Przecież nie może o tym nie wiedzieć.

Następnego dnia po południu Kirstin wpadła tylko na chwilę, razem z Mellie. Boże Narodzenie było już blisko i rozpoczął się ulubiony okres wieszania jemioły i wianków z ostrokrzewu, przygotowywania cynamonowych ozdób na choinkę i pieczenia pierniczek. Mellie uparła się, żeby zawieźć Zachowi koszyczek jeszcze ciepłych ciasteczek, jednak okazało się, że nie ma go w domu. Kirstin postawiła ciastka na stole w kuchni i rozejrzała się. Światła były zapalone, na kominku w salonie płonął ogień, ale na wieszaku nie było jego kurtki.

- No cóż, kochanie, po prostu zostawmy ciasteczka tutaj. Zach na pewno je znajdzie.

- Ale ja chcę go zobaczyć.

- Maleńka, jego tu nie ma. Musiał gdzieś wyjść. Zobacysz się z nim następnym razem.

Wyszły już z domu i kierowały się w stronę samochodu, kiedy usłyszały muzykę. Mellie też musiała zwrócić na nią uwagę, bo jej buzia aż pojaśniała z radości. Okrążyły dom, brodząc w śniegu powyżej kostek, i Kirstin nagle chwyciła małą za rękę. Dostrzegła Zacha, chociaż on ich nie widział. Domyśliła się zresztą, że w tej chwili nie był w stanie zauważyć nikogo. Tego dnia trochę się ociepliło, ocean był spokojny, w ołowianosrebrnym kolorze i błyszczący jak lustro. Nadbrzeżne skały spryskiwała rozpylona woda, a opuszczoną latarnię morską otaczała szara mgła. Zach stał na tych skałach, w dżinsach i rozpiętej skórzanej kurtce, a jego saksofon lśnił złotym blaskiem w popołudniowym słońcu. Oczy miał zamknięte.

Dopiero po chwili Kirstin rozpoznała graną melodię. To był stary rock and roll, znany jej tylko z audycji radiowych, w których prezentowano dawne przeboje. Nigdy nie słyszała tego utworu w wykonaniu Zacha. Wydawało się, że dźwięki saksofonu wypływają prosto z serca wykonawcy, słyszała w nich cierpienie i gorycz miłości, słyszała skargę mężczyzny rozdartego na dwoje, który opowiadał o bólu nie do zniesienia.

- Mamo, puść mnie. Chcę uściskać Zacha.

- Wiem, że chcesz, kochanie - szepnęła ze łzami w oczach.

- Nie chcę wracać do domu. Pójdę do Zacha. On też chce mnie uściskać, zawsze przecież to robi.

- Kochanie, tym razem to co innego. - Dolna warga Mellie drżała niebezpiecznie i Kirstin musiała



chwycić ją na rękę i przytulić, zanim mała wybuchnie płaczem. Jej siedmioletnia pociecha potrafiła być uparta. - Nie możemy teraz mu przeszkadzać. To byłoby wtrącanie się w jego prywatne sprawy.

- Mam w nosie te głupie prywatne sprawy!

- Wiem, kochanie. Wiem, że trudno ci to zrozumieć.

- I to, co powiedziałaś o wtrącaniu się, też mam w nosie!

Kirstin pomyślała, że jej słodki aniołek lada chwila może dostać prawdziwego napadu. Udało jej się powstrzymać to do chwili, kiedy już znalazły się w samochodzie, za dokładnie zamkniętymi drzwiami.

Zach znowu zaczął grać. Kiedy tu przyjechał, był tak wyczerpany i zniechęcony, że było rzeczą zrozumiałą, iż nie mógł pracować. Można coś bardzo kochać, lubić to robić, ale czasami człowiek jest tak zmęczony, że nie jest w stanie niczego z siebie wykrzesać. Okazało się, że potrzebny mu odpoczynek, spokój, świeże powietrze i może też, w co bardzo chciała wierzyć, ktoś, kto by go kochał, troszczył się o niego, wierzył w niego. Ona była tym kimś i nawet jeśli on jej nie kocha i nigdy nie kochał, to i tak cieszyła się, że mogła mu pomóc. Bo przecież pomogła, jeżeli teraz znów grał. Tylko że dźwięki tej muzyki rozdzierały jej serce. Jadąc do domu, usiłując uciszyć Mellie, próbując z nią rozmawiać, starając się uważać na ośnieżonej, śliskiej drodze, wciąż czuła, że coś ściska ją za gardło.

Rozmawiała z nim na wszystkie tematy - o chłopięcych przygodach, ojcu i braciach, polityce i rzeczach, które lubił, ale przez cały czas czuła, że wciąż coś przed nią ukrywa, że są sprawy, których nie chce poruszać. Nie należał do osób, które łatwo uzewnętrzniają swoje

uczucia, i zawsze zdawała sobie sprawę z tego, że nieprędko jeszcze Zach jej naprawdę zaufa.

Ale czas szybko uciekał. Słyszała, jak dzisiaj grał i wiedziała, że jego rana jeszcze się nie zagoiła, ale już nic nie mogła na to poradzić, chyba że zdecydowałby się powiedzieć jej, co go dręczy, otworzyć się przed nią. A tak mogła tylko cierpieć razem z nim. I pamiętać, że niczego jej nie obiecywał, nigdy nie mówił o miłości. Możliwe, że po prostu jej nie kocha. I już wkrótce odjedzie.

No i w końcu wszystko zostało zrobione, pomyślała Kirstin, zbierając swoje przybory do czyszczenia. Naturalnie za jakiś czas dom znowu się zakurzy, a wiele rzeczy wymaga naprawy, ale pokoje przynajmniej nadają się do zamieszkania. Naprawdę zrobiła wszystko, co mogła.

Ta świadomość przygnębiła ją. Czuła, że dobrze zrobi jej świeże powietrze, więc chwyciła kurtkę i poszła na drugie piętro. Małe, półokrągłe drzwi wiodły na galeryjkę otaczającą całą kondygnację. Stała tam, oddychając głęboko słonym powietrzem i patrząc na morze. Zatokę otulała srebrnoszara mgiełka, przez co zimowy krajobraz nabrał perłowego połysku. Fale oceanu uderzały o skały, rozbryzgiwały się na nich i zaraz cofały się. Wszystko odbywało się w niezmiennym od wieków rytmie. Słuchała krzyków mew, oplatając się ciasno ramionami, gdy nagle za nią pojawił się Zach.

- Wiedziałem, że tu cię znajdę.

Uśmiechnęła się tylko, a on przyciągnął ją do siebie i od razu zamknął w objęciach, zanurzając twarz w jej włosach i całując lekko za uchem. Zmarzła, ale gdy Zach był przy niej, wcale nie odczuwała zimna.

- Możesz wyobrazić sobie różne okręty w tej zatoce? Statki wielorybiczne i szkunery, a także statki pirackie z białymi żaglami i czarną flagą... W tym domu zaś czeka czyjaś żona. Spaceruje w kółko po balkonie i martwi się, czy jej mąż wróci cały i zdrow. Gdyby miała lornetkę, to mogłaby śledzić każdy okręt wpływający do portu.

- Podobałoby ci się tacy piraci, co? - wyszeptał Zach prosto do jej ucha.

- Ale tylko ci źli. Tacy, którzy przywożą swoim kochankom skrzynie pełne zrabowanych szmaragdów, diamentów i pereł... a przedtem, oczywiście, grabią, plądrują i walczą na szpady.

- Przecież oni byli złodziejami.

- To prawda. Ale gdybym miała pokochać złodzieja, to wołałabym, aby przypominał dzielnego pirata.

- Wszyscy pewnie mieli skorbut i popsute zęby - powiedział Zach, znów przytulając ją do siebie.

- Ci z mojej wyobraźni są piękni.

- Kirstin...

- Uhm?

- Kochanie, ja już dłużej nie mogę tu zostać.

Wiedziała, że kiedyś padną te słowa. Wiedziała od samego początku. Ale mimo wszystko odczuła je jak uderzenie. Odwróciła się, przez cały czas będąc w jego ramionach, i spojrzała mu prosto w oczy. Zobaczyła w nich niepokój i troskę, i może właśnie dlatego znalazła tyle siły, by wymyślić największe kłamstwo, jakie udało jej się w życiu powiedzieć.

- Boisz się, że będę cierpiała, prawda? Nie bój się, przecież ja wiedziałam, że tak musi być. Jeszcze zanim między nami do czegokolwiek doszło, wiedziałam przecież, że przyjechałeś tu tylko na krótko.

- Przecież ja wcale nie chcę wyjeżdżać - odparł,

delikatnie gładząc palcem jej policzek. - Po prostu muszę. Nawet nie chodzi o moją umowę z braćmi, że zostanę tu przez miesiąc, ale nie załatwiłem wielu ważnych spraw. Nikt nie opiekuje się moim mieszkaniem w Los Angeles, muszę też uregulować rachunki. No i zostały jeszcze pewne kwestie dotyczące rozwiązania zespołu - muszę się tym zająć, bo przecież chodzi tu też o innych ludzi, nie tylko o mnie.

- Rozumiem. - Nigdy nie mówił jej o kolegach z zespołu ani o tym, co go z nimi wiąże. Te sprawy zresztą mniej ją obchodziły niż on sam. - A co z tobą? Czy już myślałeś o tym, co będziesz robił?

- Tak. - Zawahał się. - Pracowałem trochę ostatnio. Skomponowałem kilka utworów.

Domyślała się tego. Kilka razy widziała, jak siedział grając coś na tych swoich organach, z ołówkiem w zębach, tak zatopiony w pracy, że nawet jej nie zauważał. Muzyka, którą wtedy słyszała, była inna niż ta, którą grał nad morzem, a już zupełnie inna od tej z kasyty. Było w niej coś nowego, świeżego, przesyconego uczuciem. Jedna z piosenek, chociaż nie znała jej słów, według niej mówiła o miłości i o niewinności kogoś, kto miłość odkrywa po raz pierwszy w życiu.

- A więc... - Podniosła głowę. - Masz zamiar znowu grać?

- Nie, w każdym razie nie na estradzie. Dziesięć lat to dla mnie dosyć. Ale doskonale wiem, że są dzieciaki, które marzą o występach.

- Dzieciaki?

- Nie masz pojęcia, jak dużo ich jest. Ci młodzi są naprawdę utalentowani i zrobiliby wszystko, byleby mieć możliwość występu. Potrzebują pomocy, żeby ktoś im to umożliwił. Ale dopiero potem zaczynają się

prawdziwe problemy - alkohol, narkotyki, depresja. To wszystko dzieje się tak szybko, że nawet ni zauważają, kiedy stają się kalekami psychicznymi. A ci, którzy naprawdę mają talent, są zarazem bardziej wrażliwi, bardziej narażeni na wpakowanie się w poważne kłopoty. Do diabła, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć...

- Spróbuj, ja cię słucham - powiedziała łagodnie.

Zach oparł się o barierkę.

- Chodzi o samo bycie muzykiem. To nie styl życia jest niebezpieczny, tylko to, co się w tym życiu robi. Człowiek uczy się wyrażać swoje uczucia poprzez grę, przez swój instrument. I to jest w tym zawodzie najpiękniejsze, ale zarazem także niebezpieczne, bo nie nawiązuje się żadnych kontaktów z ludźmi. Na początku wydaje się, że to nie ma znaczenia, bo liczy się tylko muzyka. Człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest samotny, że traci z oczu to, co naprawdę ważne. Czy rozumiesz to?

- Tak. - Zrozumiała, że po raz pierwszy mówi o tym, co czuje.

- Nie wiem, czy uda mi się uchronić choć jedną osobę przed popełnieniem takich błędów, jakie ja sam robiłem. Ale chodzi mi o to, że znam sposób, żeby się porozumieć z młodymi artystami. Zawsze najlepiej wychodziło mi komponowanie, najbardziej to lubiłem, a teraz mogę pisać dla nich, dla tej młodzieży, pomagać im wystartować, nauczyć ich czegoś...

Znów się zawahał i patrzył na Kirstin, jakby czegoś od niej oczekiwał. Zrozumienia? Poparcia?

- Wiesz, Zach, to wszystko, co powiedziałeś, brzmi wspaniale. Moim zdaniem będziesz świetny w pracy z młodymi muzykami i myślę, że naprawdę możesz wpłynąć na ich losy.

- No cóż, nie wiem, czy taki „światny”. - Nieświadomie podrapał się w kark, a Kirstin już wiedziała, że odprężył się, słysząc, że spodobał jej się ten pomysł. Widocznie jej zdanie jednak miało dla niego znaczenie.

- Już zatelefonowałem tu i ówdzie - przyznał. - Wygląda na to, że niedługo będę mógł wziąć się do pracy.

Widziała w jego oczach stanowczość i zdecydowanie. Pomyślała, że chyba czuje się znacznie lepiej, niż zdaje sobie z tego sprawę. Chciała cieszyć się razem z nim - i robiła to, tylko przez cały czas miała bolesną świadomość, że ona nie będzie miała udziału w jego nowym życiu.

- A więc... - Uśmiechnęła się pogodnie. - Na kiedy zaplanowałeś wyjazd?

- Wyjeżdżam w Wigilię. Michael przysłał mi bilet na samolot. Nie wiem, w jaki sposób zdobył go w okresie przedświątecznym. Może zamordował kogoś, żeby mu go zabrać, albo uwiódł jakąś panienkę w liniach lotniczych. Nie miałem zamiaru lecieć samolotem, bo co w takim razie zrobiłbym z samochodem, ale Michael mówił, że załatwił kogoś, kto go mi przewiezie. Tak czy owak, odlatuję w Wigilię około południa, mam przesiadkę w Portland i wieczorem powinienem już być w Atlancie. I tak musimy spotkać się w trójkę, żeby omówić sprawę tego domu, a bracia uparli się, żeby załatwić to w czasie świąt. - Spojrzał na Kirstin. - Mógłbym zostać troszkę dłużej, na czas ferii.

- Po tym, jak opisałeś mi Michaela... Rozumiem, że oni chcą spędzić z tobą święta, a potem przecież będziesz bardzo zajęty i nie wiadomo, kiedy znów będziecie mieli okazję się spotkać. - Słyszała siebie samą, jak mówi tak spokojnie, rozsądnie, a przez cały czas w głowie dzwoniły jej słowa piosenki o dziecku,

które miało tylko jedną prośbę do Świętego Mikołaja. Mianowicie chciało dostać od niego dwa przednie zęby. Ona nie potrzebowała zębów, tak samo jak nie chciała żadnych prezentów. Pragnęła tylko być z Zachem.

Mogłaby wyjechać stąd z Mellie w ciągu pięciu sekund, gdyby oczywiście on tego chciał. Pracę znalazłaby wszędzie, a i mała wszędzie byłaby szczęśliwa, byleby ją otoczył miłością. Ojciec tęskniłby za nimi, ale bez wątplenia zrozumiałby, dlaczego wyjechała. W końcu to on ją uczył, że nie wolno marnować szansy na miłość. Rozpoczęcie życia na nowo z Zachem mogło być wspaniałą przygodą. Pojechałaby z nim dokądkolwiek bez wahania... gdyby tylko jej to zaproponował.

- Kirstin... - Zach zrobił krok w jej stronę.

Zdała sobie sprawę, że nie proponuje jej wspólnego wyjazdu. Sama też nie mogła tego zrobić - nie z powodu dumy, ale, jak stwierdziła z goryczą, dlatego że już tyle razy robiła ten pierwszy krok. Nie było sposobu, by zmusić go, żeby uświadomił sobie, że łączy ich coś wyjątkowego, coś cennego, coś, o co warto walczyć, skoro on sam tego nie czuł.

Zach dotknął jej brody i utkwiał wzrok w jej twarzy. Popatrzyła mu w oczy - poważne, wyczekujące - i zareagowała w jedyny sposób, jaki uznała za właściwy w tej sytuacji.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho.  
- Wiedziałam, że będę za tobą tęsknić, że rozstanie będzie bolesne, ale też wiedziałam od początku, że tylko przez krótki czas możemy być razem. Nigdy niczego mi nie obiecywałś.

- Nie chcę, żebyś cierpiała, nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Jeśli zrobiłem coś takiego, że teraz żałujesz...

- Nie mów tak, nie żałuję ani jednej minuty spędzonej z tobą.

Uśmiechnął się lekko.

- Gdybyś mnie potrzebowała, to przyjadę natychmiast. Zjawię się na każde wezwanie. - Delikatnie pogłaskał jej policzek czubkami palców. - Przywróciłaś mi moją muzykę - wyszeptał.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - To wyłącznie twoja zasługa. Potrzebowałeś tylko czasu i odpoczynku...

- Nie potrzebowałem czasu, nie potrzebowałem odpoczynku, potrzebowałem tylko ciebie. Nie było nigdy w moim życiu nikogo takiego jak ty. I nigdy cię nie zapomnę.

To dlaczego, do jasnej cholery, łamiesz mi serce, pomyślała z rozpaczą.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przyrzekła sobie, że pożegna go spokojnie i z godnością. Już minęła dziewiąta, a to znaczyło, że Zach musi wyjechać na lotnisko najpóźniej za godzinę. W związku z tym nie zostanie im zbyt wiele czasu na długie, czułe pożegnanie. Jedyne, co powinna zrobić, to uśmiechać się, powiedzieć „do widzenia” i życzyć mu wszystkiego najlepszego. Przecież to nie będzie trudne.

Wjechała na podjazd, zahamowała i wyłączyła silnik, myśląc o tym, co powiedział tego rana jej ojciec. Nie chciała tłumaczyć mu, że jest już za późno na to, by być ostrożną. Przechyliła lusterko, żeby sprawdzić, jak wygląda. W Wigilię nie musiała szukać pretekstu, by ubrać się jak najładniej. Chciała zrobić na Zachu wrażenie, a do tej pory widywał ją wyłącznie w dżinsach. Obszerny granatowy sweter z wielkim kapturem ukrywał zbyt mały biust, a z kolei krótka spódnica z białej wełny ukazywała jej zgrabne nogi. Z powodu śniegu musiała włożyć botki, ale wybrała elegancką parę na bardzo wysokich obcasach, nie przejmując się, że Bóg jeden wie, jak uda jej się utrzymać w nich równowagę. Trwała ondulacja nie była na szczęście już taka świeża i luźne loki zwisały swobodnie. Lekko przyciemniła rzęsy, była zarumieniona z powodu mrozu i zdenerwowania. Wyglądała tak pięknie, jak tylko było to możliwe przy jej pospolitej urodzie.

- Mamo! Dlaczego tak się grzebiesz? Jedźmy już!

- Dobrze, skarbie. - Przełknęła to coś, co utkwiło jej w gardle, i uśmiechnęła się. - Jestem gotowa. Chcesz nieść prezenty?

O mało nie przytrzasnęła drzwiami swojego czerwonego płaszcza, ale w porę zauważyła niebezpieczeństwo i wzięła to za dobry znak. Najwyraźniej dziś jest jej szczęśliwy dzień. Nie potknęła się ani razu, pogoda jest wspaniała - czyste niebo, biały śnieg skrzący się w słońcu, rześkie, dodające animuszu powietrze.

Zach musiał widzieć, że nadjeżdżają, bo otworzył drzwi, zanim Mellie zdążyła zastukać, i mała wpadła prosto w jego ramiona.

- Zach, nie chcę, żebyś wyjeżdżał! Kocham cię!

- Maleńka, ja też cię kocham.

Kirstin zobaczyła, jak Zach obejmuje jej córeczkę, i tamto coś znowu utknęło jej w gardle. Zastanawiała się, czy on wie, jak ważna i rzadka jest ta więź, która między nimi powstała. Mellie będzie bardzo za nim tęsknić, ale Kirstin przypuszczała, że nie tak bardzo jak on. Jednak to nie skłoniło go do pozostania. Widziała stojącą w pobliżu drzwi torbę podróżną i spakowane instrumenty. Zach wypuścił Mellie z objęć i wstał, trzymając zapakowane w kolorowy papier prezenty od nich obu. Podeszła bliżej i lekko pocałowała go w policzek.

- Wesołych Świąt, Zach.

- Cóż za niespodzianka!

- To tylko mały prezent...

- Mówię o tobie, a nie o prezentach.

Zdjął z niej płaszcz, zlustrował spojrzeniem od stóp do głów, potem znów zaczął przyglądać się jej twarzy, ustom, oczom. Szlag by to trafił. Patrzył na nią, jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie, jakby chciał na

zawsze zapamiętać najdrobniejszy szczegół jej wyglądu, i nie mógł znieść myśli o rozstaniu. Po prostu stał tak, trzymał jej płaszcz, patrzył na nią i nie robił nic. Zbierało jej się na płacz.

- Nie zostaniemy długo, przecież musisz wkrótce jechać na lotnisko. Chciałyśmy tylko ofiarować prezenty - odezwała się.

- No, Zach. Obejrzyj je. Otwórz - nalegała Millie. W końcu Zach zareagował.

- Chodźcie do kuchni. Tak się składa, że ja też mam coś dla was, a czasu mamy aż nadto, żeby napić się kakao.

Mellie dostała nowego, olbrzymiego łośia - wcale nie po to, żeby zastąpił jej starego, wytartego ulubieńca, ale dlatego, że „łoś przecież musi mieć kolegę”. Na Kirstin czekała mała paczuszka, zawinięta w czerwono-złoty papier z wielką kokardą. W środku był wisiołek - dwie złote nutki na delikatnym łańcuszku.

- Nie wiedziałem, co lubisz - odezwał się Zach trochę nieswoim głosem. - Nie znam się na kupowaniu prezentów, ale pomyślałem, że dzięki temu może czasem o mnie pomyślisz... O, cholera. Nie, nie rób tego, przestań.

- Ja wcale nie płaczę. Coś mi wpadło do oka. To jest piękne, wspaniałe. Wspaniały prezent.

Pochyliła głowę, a Zach zapiął jej wisiołek na szyi. Teraz nadeszła jej kolej. Zrobiła dla niego na drutach szalik. Był we wściekle szafirowym kolorze, w niczym nie przypominającym stonowanych rzeczy, w jakie się Zach zwykle ubierał, ale pomyślała, że szalik ma ten sam odcień co jego oczy, a włóczka jest miękka jak puch.

- Boję się, że kolor może jest zbyt jaskrawy...
- Jest piękny.

- Nie mogłam wybrać żadnego prezentu, nigdy nie byłam w tym dobra. Ale zawsze wychodziłeś na dwór bez szalika i chciałam, żeby ci było ciepło...

- Kirstin, to wspaniały prezent. Nie mogłaś mi dać nic lepszego.

Nalane kakao stało nietknięte na stole. Lodówka była opróżniona, wszystkie naczynia umyte i pochowane, tylko wszędzie leżały porozrzucane pudełka i papiery pozostałe po rozpakowaniu prezentów. Żadne z nich jednak nie ruszyło się, żeby je pozbierać. Cisza stawała się coraz bardziej dokuczliwa.

- Bracia pewnie nie mogą się ciebie doczekać. Cieszę się, że uda wam się spędzić razem święta.

- Będziecie mieli w domu jakichś gości?

- Mnóstwo. Wszystkie samotne ciotki, wujkowie, najdalsi kuzyni, sąsiedzi. To mama zawsze uważała, że w święta nikt nie powinien być sam. Tata zawsze powtarzał, że gdyby jej na to pozwolić, zaprosiłaby całą armię. Tak czy owak, dom pełen gości stał się u nas tradycją. Panuje w nim hałas, bałagan i zwariowana atmosfera.

- A więc wszyscy się dobrze bawicie.

Rozmowa nie kleiła się. Kirstin obawiała się, że za chwilę zapanuje między nimi milczenie.

- Zawiadomisz mnie, co postanowicie w sprawie domu?

- Oczywiście. Zadzwoń do ciebie za parę dni. Co prawda, wydaje mi się, że będziemy musieli go sprzedać. Zajmiesz się nim do tego czasu?

- Przecież wiesz, że tak.

- Ale nie będzie żadnego włożenia na strych ani czyszczenia żyrandoli. Masz tylko sprawdzać, czy stoi na swoim miejscu.

Bezmyślnie zaczęła zbierać podarte opakowania.

Zach podszedł do niej, ale zamiast pomóc, dotknął jej delikatnie.

- Kirstin... Ja nie mogę żegnać się z tobą w ten sposób. - Gładził dłonią jej włosy i mówił coraz ciszej. - Myślałem, że potrafię. Myślałem, że mogę odejść, przynajmniej dopóki wiem, że ci na mnie zależy. Ale to niemożliwe.

- Nie rozumiem.

- Jest coś, o czym ci muszę powiedzieć. Nie chciałem tego mówić, bo bałem się, że zmienisz o mnie zdanie, że twoje uczucia do mnie na tym ucierpią. Wiem, że tak będzie, ale mimo wszystko muszę ci to powiedzieć. Nie chcę, żebyś pomyślała, że mogę odejść, ot, tak sobie. Jakbyś nic dla mnie nie znaczyła. Jakbym nie kochał cię tak bardzo, że...

Serce w niej zamarło, a potem zaczęło bić jak oszalałe. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że tymi paroma słowami wyrzucił cały jej świat do góry nogami. Próbowwała coś mu odpowiedzieć, ale Zach przerwał jej niecierpliwie.

- Słuchaj, to, co ci chcę powiedzieć, chwilę potrwa. Może najpierw upewnijmy się, co robi Mellie.

Kirstin rozejrzała się wkoło. Przecież Mellie była tu jeszcze przed chwilą i bawiła się nowym łosiem, ale teraz nie było jej widać. Spojrzała na Zacha. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, o czym tak bardzo chciał jej powiedzieć, ale najważniejsze dla niej było to, co widziała w jego twarzy. Wzrok miał pełen miłości. Tego, o czym tak marzyła, o czym śniła, w co czasami miała odwagę wierzyć. Najwyraźniej jednak nie miał zamiaru jej się zwierzyć, zanim upewni się, czy będą mogli zostać przez chwilę sami, a to znaczyło, że trzeba sprawdzić, gdzie jest Mellie. Rzuciła się do drzwi.

- Wiesz, jak ona lubi zwiedzać ten dom. Tylko sprawdzę, gdzie jest i co robi.

Zawołała ją z holu, ale nie było odpowiedzi. Wołała na schodach, z podobnym rezultatem. Jeszcze nie zaczęła się niepokoić. Mellie przecież uwielbiała chować się za ciężkimi kotarami, związać w kłębek na fotelach, zwiedzać przeróżne nisze i alkowy. Czasem była tak skoncentrowana na zabawie, że po prostu nic nie słyszała. Przeszukała cały parter i nie znalazła jej. Wróciła do holu, gdzie natknęła się na Zacha, i teraz szukali małej oboje.

- No co, panienko? Podoba ci się? Chyba lubisz takie klejnoty i koronki?

- To naprawdę dla mnie? - Mellie dotknęła paluszkami długiego sznura pereł zwisającego z jej szyi.

- Oczywiście. A teraz usiądź mi na kolanach. Opowiem ci różne historie o piratach i księżniczkach, takich jak ty.

- Ale jesteś gruby, prawie jak Święty Mikołaj! Podoba mi się, jak opowiadasz.

- O, to dobrze, bo posiedzimy sobie tu trochę. Mówi się, że Czarnobrody był najdzielniejszym piratem w tamtych czasach, ale to nieprawda. Ja nim byłem. Wyobraź sobie - mój okręt miał sześć armat i siedemdziesięciu ludzi załogi...

- Jesteś pewien, że mogę sobie wziąć ten naszyjnik? Może lepiej zapytać mamę?

- Jasne, że możesz go wziąć. A teraz słuchaj. Wtedy akurat prowadziłem okręt Teacha i nagle zerwał się sztorm. Ujrzeliśmy na horyzoncie angielskie okręty wojenne, uzbrojone po zęby. Zaczęli nas ostrzeliwać, trafili w takielunek, potem w pokład i burtę. Ludzie wkoło padali, jeden leżał w kałuży krwi. Wyglądaliśmy źle... Mówię ci, panienko, ale była rozpierducha. Nie było szans, żeby wyjść z tego z życiem, żadnych szans, nawet z całą moją przebiegłością i rozumem...

- A kiedy wreszcie opowiesz mi o księżniczce?  
- Chyba chcesz wysłuchać najciekawszej części historii?

- Najciekawsza część będzie o tym, jak ocaliłeś księżniczkę.

- Pewnie mi nie uwierzysz, maleńka, ale właśnie w tej chwili próbuję to zrobić. O czym to mówiłem? Aha, w środku tej cholernejszej rozpierduchy...

- Zach, ona nigdy nie wyszłaby z domu bez pytania, a poza tym jej kurtka wisi przecież na wieszaku. Naprawdę nie ma powodu do paniki. Kiedy się dobrze bawi, to w ogóle nic do niej nie dociera. - Kirstin spojrzała na zegar na ścianie. - Boże, jak późno. Jeżeli zaraz nie wyjdiesz, to spóźnisz się na samolot. Ja ją znajdę, nie musisz się niczym przejmować...

- Niech szlag trafi ten samolot. Myślisz, że mogę wyjechać, kiedy nie wiadomo, co się stało z dzieckiem?

- Zach szarpnął kurtkę. - To wszystko moja wina.

- Nie ma w tym twojej winy. - Kirstin też włożyła płaszcz. Szukanie na dworze nie miało sensu, ale Zach uparł się, a Kirstin nie mogła puścić go samego. Nigdy dotąd nie widziała, by był tak bardzo zdenerwowany.

- Na pewno Millie gdzieś się schowała, bo chciała spłatać nam figła. To nie pierwszy raz. I nie ma powodu, żebyś się czuł winny.

- Powinienem być mieć na nią oko.

- Czy ty się wreszcie uspokoisz? Gdyby coś sobie zrobiła, to zaraz byśmy o tym wiedzieli, wierz mi. Jak ona uderzy się w palec, to wrzeszczy tak, że słyhać ją w całym domu. A zresztą to ja jestem jej matką i jeśli ktoś powinien być jej pilnować, to z pewnością ja.

- Nic nie rozumiesz. Wiem, że jesteś jej matką, ale ona była tutaj, w moim domu, i moim obowiązkiem

było zadbanie, żeby nic się jej nie stało. Zawsze tak robiłem, kiedy tu była, bo przysiągłem sobie, że przeze mnie już żadne dziecko nie dozna krzywdy, nigdy więcej.

- Nigdy więcej?

Nie mógł jej teraz opowiedzieć o swojej córce, nie w tej chwili. Był zbyt przerażony i myślał przede wszystkim tym, co może się zdarzyć siedmioletniemu dziecku, które przebywa samo na brzegu oceanu i to w zimie. Woda przy brzegu jest co prawda płytką, ale lodowato zimna, a prądy bardzo silne, skały śliskie i jeszcze do tego ta nieczynna latarnia morska, która może zainteresować każde dziecko. A to nie jest przecież „każde” dziecko, tylko dziecko Kirstin, jej ukochana Mellie. Jego Mellie.

Nie potrafił się uspokoić, nie potrafił rozmawiać ani myśleć. Coś, co ścisnęło go w piersi, nie chciało ustąpić, dopóki nie obszedł dwukrotnie domu wokoło. Na śniegu nie znalazł absolutnie niczego poza swoimi własnymi śladami.

- Wystarczy... - Kirstin dopadła go na tylnej werandzie i złapała za rękaw kurtki. - Ona musi być w domu, nie ma innej możliwości, i zaraz ją znajdziemy. Cały się trzęsiesz, a nie ma powodu, żeby się tak denerwować. Ona po prostu gdzieś się bawi. A teraz chciałabym, żebyś odpowiedział na moje pytanie. I to zaraz, w tej chwili. Co miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że przez ciebie już nigdy więcej nic złego nie stanie się żadnemu dziecku?

Może gdyby nie był tak wstrząśnięty, powiedziała by to jakoś inaczej. Może miałyby na tyle rozsądku, żeby przedstawić się w trochę lepszym świetle. Ale będąc w takim stanie, mógł zdobyć się tylko na całkowitą szczerość.



- Pewna kobieta zaszła ze mną w ciążę i urodziła dziecko. Moje dziecko. Właściwie jej nie znałem i niewiele o niej wiedziałem. Była wściekła, kiedy nie chciałem od razu dać jej pieniędzy, i zrobiła tak, żebym nigdy tego dziecka nie zobaczył. Oddała je do adopcji, a ja nie miałem nic do powiedzenia, nie miałem żadnego wyboru. Nie chciałem, żebyś się o tym dowiedziała. O tym, że byłem taki nieodpowiedzialny. Od tamtej pory myślę o tym. Nie o tym, jakiego rodzaju kobietą była Sylvie albo jak może zawieść antykoncepcja, tylko o sobie. Że straciłem dziecko z własnej winy, bo nie myślałem o konsekwencjach swojego postępowania.

Kirstin chciała coś powiedzieć, ale po raz pierwszy słowa ją zawiodły. Od początku przypuszczała, że Zach coś ukrywa, ale myślała, że to ma związek z jego pracą, z muzyką. A teraz oczekiwał, że ona go osądzi, i najwyraźniej spodziewał się totalnego potępienia. Nic nie odpowiedziała, więc odwrócił się i ruszył do domu. Wyciągnęła rękę, żeby go zatrzymać, ale nie zauważył tego.

- Zresztą to wszystko teraz nie jest ważne - powiedział. - Musimy znaleźć Mellie.

Rzuciła okiem na zegarek i zobaczyła, że już minęła dziesiąta. Teraz Zach już nie zdąży na samolot, nawet gdyby miał skrzydła. Pobiegła za nim do domu, zdjęła płaszcz i przemoczone buty i weszła do holu. Zach już tam był... i była również Mellie, która wyglądała tak, jakby bawiła się na wysypisku śmieci. Na szyi dyndał jej sznur zakurzonych pereł, długi do pasa, a wokół kołnierzyka jednej z najlepszych sukienek zwisała postrzępiona koronka. Właśnie zbiegała po schodach w podskokach.

- Boże drogi, gdzieś ty była?

Mała skoczyła z czterech stopni wprost w ramiona Zacha, paplając przy tym piąte przez dziesiąte.

- Mam nowego przyjaciela, ale to wielka tajemnica, i on mi opowiadał przeróżne historie w takim ukrytym pokoju. Musisz tylko nacisnąć kawałek drewna w tym niebieskim pokoju na górze i tam jest moja ukryta komnata, a w środku cholernie dużo różnych cholernych rzeczy...

- Amelio! - Kirstin zamruwała powiekami w oszołomieniu. - Skąd u ciebie taki język?

- Jaki język? Zach, chcesz usłyszeć opowieść o księżniczce? O takiej, co miała małe cycki, a potem porwali ją piraci?

Kirstin nie wierzyła własnym uszom. Już wcześniej zdarzało się, że Mellie opowiadała jakieś przedziwne historie lub wymyślała nie istniejących przyjaciół, ale gdzie mogła zaznajomić się z takim językiem? Jednak nie odezwała się, tylko pośpieszyła do kuchni, bo jej dziecko oznajmiło, że ma cholerne pragnienie. Zach wziął małą na ręce, jakby była lżejsza niż piórko, i poszedł za nią. Kirstin naląła kakao do kubków i przyglądała się im swobodnie, gdyż nie zwracali na nią uwagi - Mellie zbyt była zajęta opowiadaniem o jakiejś rudowłosej księżniczce, Zach słuchaniem jej. Nie zauważyła przedtem, że są tak bardzo do siebie podobni. Takie same błękitne oczy, rozczochrane, kręjące się czarne włosy. Każdy powiedziałby, że są spokrewnieni. Właściwie wyglądali jak ojciec i córka. W końcu Zach popatrzył - nie, nie na nią, ją omijał wzrokiem od co najmniej pół godziny - ale na zegar na ścianie.

- To niemożliwe. Już jedenasta?

- Tak. Zdaje się, że twój samolot zaraz odleci i obawiam się, że teraz nie dostaniesz innego biletu za żadne pieniądze świata. - Wypłukała kubki po kakao i zwróciła się do Zacha: - Słuchaj, chcę zawieźć teraz Mellie do domu. Pojedziesz z nami?

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - odparł z wahaniem.

Ale ona była o tym przekonana. Wigilię zawsze spędzali spokojnie, w małym gronie. Dopiero jutro dom będzie pełen gości, świątecznych zapachów, hałasu, prezentów, jedzenia, zapalonych świeczek... Może Zach nie chciałby uczestniczyć w tych wszystkich tradycyjnych rytuałach. Jednak zanim się o tym przekona, chce zostać z nim sama, więc musi zawieźć Mellie do jej dziadka.

Szybko przekonała Zacha, by zadzwonił do braci i powiadomił ich, że nie zdążył na samolot. A następnie stanowczo, choć łagodnie nakłoniła go, by włożył kurtkę, wyszedł z domu i wsiadł do jej samochodu, gdyż miała przeczucie, że gdyby wsiadł do swojego auta, mógłby zdezerterować. Zach wyglądał tak, jakby miał wszystkiego dość, i może rzeczywiście wierzył, że utracił jej miłość. Na szczęście Mellie zajmowała jego uwagę przez całą drogę, lecz gdy tylko zajechali pod dom, wyskoczyła z samochodu i popędziła do dziadka, by jak najprędzej opowiedzieć mu o księżniczce i swoim tajemniczym przyjacielu. Wtedy Kirstin szybko zawróciła i ruszyła z miejsca tak gwałtownie, że zapiszczały opony.

- Dokąd jedziemy?

- Do lasu.

- Nie jesteś odpowiednio ubrana, zamarzniesz tam w tym cienkim płaszczu.

Nie miało to żadnego znaczenia. Mogłaby mieć na sobie tylko kostium kąpielowy, gdyby dzięki temu udało się go uspokoić i przekonać o swojej miłości. Do domu nie chciała teraz wracać, wołała zabrać go tam, gdzie po raz pierwszy otworzył się przed nią, zaczął mówić o sobie, a ona odkryła, że żadna siła nie powstrzyma jej od zakochania się w nim. Na polanie,

gdzie wtedy piekli kurczaki, świeciło słońce, a zwisające z sosen sople błyszczały jak klejnoty. Zach wysiadł z samochodu i włożył zaciśnięte ręce do kieszeni.

- Kirstin... jeśli przywiozłaś mnie tutaj po to, żeby zerwać naszą znajomość, to nie trzeba było się aż tak trudzić. Nie sposób nie zauważyć, jaki jest twój stosunek do dzieci i co możesz pomyśleć o kimś takim jak ja. Nie musisz mi mówić, co to dla ciebie znaczy.

- To prawda - zgodziła się i zawahała przez chwilę.  
- Kiedy pierwszy raz cię spotkałam, odniosłam bardzo silne wrażenie, że cierpisz, bo kogoś straciłeś. Myślałam, że się pomyliłam, bo twoi bracia powiedzieli mi, że byłeś chory, fizycznie chory, ale przez cały czas nie mogłam pozbyć się czegoś w rodzaju współczucia dla ciebie. Teraz już rozumiem. Dobrze znam taki ból po odejściu kogoś, kogo się kochało. Straciłam przecież Alana i moją mamę. Po czymś takim nie można otrząsnąć się w ciągu tygodnia czy miesiąca. Zresztą sędzę, że tak powinno być. Czym byłaby miłość albo życie, gdybyśmy łatwo przechodzili do porządku dziennego nad utratą bliskich.

- Kochanie, przecież moje dziecko żyje. To nie to samo.

- Nie? Jeśli straciłeś je i cierpisz, to jak chcesz to nazwać? Żałuję tylko, że nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. Czy myślałeś, że nie zrozumieję tego, co się stało?

- Nie. Tak. Cholera, Kirstin, ty mnie zawstydzasz.  
- Przesunął dłonią po włosach. - Nie obawiałem się, że mnie nie zrozumiesz. Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym dziecku, ponieważ chodziło o mnie. O to, jaki kiedyś byłem.

- Nie byłeś szczęśliwy - odparła. - Szczerze mówiąc, za żadne skarby nie mogłam zrozumieć, jak wytrzymywałeś tego rodzaju styl życia, kiedy musiałeś

występować przed wielotysięcznym tłumem. Ale to chyba nie było najgorsze, prawda? Potrafiłeś stworzyć dystans między sobą a publicznością, prezentować jej tylko swoją muzykę i nie pozwolić nikomu zanadto się zbliżyć. Jeśli ktoś jest wrażliwy, to trudno mu się odsłonić, uzewnętrznić swoje uczucia, a komuś nieśmiałości jest jeszcze trudniej.

- Kochanie, nigdy w życiu nikt nie nazwał mnie nieśmiałym.

- W takim razie nieźle potrafisz oszukiwać ludzi. Według mnie jesteś najbardziej nieśmiałym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. - Pomyślała, że tym razem nie pomyliła się. Zach wciąż był ponury, unikał jej wzroku, ale w końcu przestał chodzić w kółko i odwrócił się do niej.

- Zawsze uparcie myślałaś o mnie tylko dobrze. To miłe, ale źle mnie oceniałaś. Nigdy nie byłem taki, za jakiego mnie brałaś. Nie jestem święty.

- Dzięki Bogu. Nigdy nie zakochałabym się w świętym. Kiedy byłam mała, marzyłam o bohaterze, o rycerzu, który przyjedzie mnie wyswobodzić z rąk bandytów. Na szczęście dorosłam. Nie chcę żadnego bohatera i zresztą nie potrzebuję go. Zawsze jakoś udaje mi się ująć cało. Pragnę spotkać mężczyznę, z którym mogę porozmawiać, który zaakceptuje mnie taką, jaka jestem, z którym będę razem zmieniać się, dojrzewać... i kochać. Ostatnio okazało się, że drzemią we mnie bezwstydnie rozwiązłe pragnienia i potrzebuję mężczyzny, dzięki któremu mogę czuć się wolna i szczęśliwa. Ale nie chodzi mi przecież o bohatera bez skazy. Co to za człowiek, który nie popełnia błędów, co on może wiedzieć o życiu? Naprawdę taki ktoś mnie nie pociąga.

- Ja nie popełniałem drobnych błędów - powie-

dział Zach. - Mój błąd odbił się na całym życiu dziecka. Trudno mi uwierzyć, że możesz coś takiego wybaczyć.

- Dlaczego? Z wybaczeniem nigdy nie miałam problemów. - Kirstin potrząsnęła głową. - Przyznaję, że zawsze patrzyłam na te sprawy z punktu widzenia kobiety, zawsze współczułam matkom nieślubnych dzieci. Nigdy nie myślałam o tym, co może przeżywać nieślubny ojciec. Aż do tej pory. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Muszę powiedzieć ci coś, co dla mnie jest oczywiste. Masz wszelkie powody, by wierzyć, że twoje dziecko jest szczęśliwe i kochane. Ludzie, którzy nie mogą mieć dzieci i w końcu udaje im się adoptować niemowlę, dbają o nie jak o źrenicę oka. Wychowują je najlepiej jak potrafią i dlatego sądzę, że twoje dziecko na pewno jest w dobrych rękach i ma się dobrze. To tobie nie jest dobrze i chodzi o to, żebyś w końcu pozbył się poczucia winy.

- Kirstin...

- Zdaje się, że chciałeś, żebym cię osądziła - przerwała, nie dając mu dojść do słowa. - Dobrze, mogę to zrobić, ale nie wymagaj ode mnie, żebym oceniała twoją przeszłość. Przecież ja ciebie wtedy nie znałam. Znam cię takiego, jaki jesteś teraz, patrzę na ciebie i widzę, że przeszedłeś przez piekło, i na tej podstawie wiem, jakim jesteś człowiekiem. - Zawahała się na moment. - Właśnie przez ból po czyjejs stracie odkryłam siłę miłości i to, że ona jest najważniejsza. Ty przechodzisz przez to samo. Myślę, że już nie jesteś tym samym, kim byłeś. Może tamtego siebie nie bardzo szanujesz, może go nie lubisz, ale, według mnie, jesteś naprawdę wart miłości.

Zach nic nie odpowiedział i tylko popatrzył na nią przez chwilę, tak jak wtedy, gdy spotkali się pierwszy raz... jak gdyby brakowało jej piątej klepki. Wtedy

pomyślała, że za chwilę zrobi jej jakąś przykrość. To samo pomyślała teraz. Miała tylko nadzieję, że może przez ten czas udało jej się nauczyć go, by słuchał głosu serca. Uśmiech na jego twarzy zjawiał się powoli, aż w końcu Zach utkwiał w niej oczy rozjaśnione ciepłem i miłością.

- Kochanie?

- Słucham?

- Jeszcze nie spotkałem kobiety, która by tak dużo mówiła.

- Wszyscy mi to mówią. Myślisz, że to dla mnie jakaś nowość?

- Zastanawiam się, czy twoja przemowa nie kryje w sobie propozycji matrymonialnej?

- Na Boga, nie. Myślisz, że jeżeli kocham cię do szaleństwa, to mogę zachowywać się jak bezwstydnica? Jestem osobą z klasą i nigdy, przenigdy w życiu nie oświadczyłabym się mężczyźnie.

- Nie? - Przyciągnął ją do siebie i założył sobie jej ręce na szyję. - Podjęłaś wielkie ryzyko, troszcząc się o mnie od samego początku. Muszę więc poprosić cię o rękę, bo uważam, że już nie potrafię żyć bez ciebie.

- Beze mnie? Mnie - chudej, piegowatej? - Po chwili dodała, udając, że się nad czymś głęboko zastanawia: - Mogę co najwyżej rozważyć ognisty romans z jakimś nieznajomym...

- A długoterminowy ognisty romans?

- Hmm... jak długi termin masz na myśli?

Nie odpowiedział jej od razu, w każdym razie nie słowami. Pocałował ją i to sprawiło, że znów pomyślała o fiołkach i hiacyntach, a potem usłyszała muzykę. Cichą, czułą pieśń miłosną, której nigdy by nie usłyszała, gdyby nie spotkała mężczyzny umiejącego poruszyć struny jej serca.

- Kochanie, okulary ci zaparowały. Chyba będę musiał schować je w bezpiecznym miejscu. - Wsadził okulary do kieszeni i znów ją pocałował, a jej serce poczęło bić jak oszalałe.

- Jesteśmy w lesie - przypomniała.

- Wiem. Ale jeśli chcesz przeżyć ognisty romans z nieznanym, to musisz być przygotowana na ponoszenie konsekwencji przez najbliższych sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat.

- Rany boskie, tak długo?

- Tak długo. Myślę, że będzie nam potrzebna siostra dla Mellie, a może dwie albo trzy. I trzeba będzie kupić ci pierścionek z ogromnym kamieniem. Nie z brylantem, raczej z szafirem. Będę musiał dołożyć wielu starań, bo niełatwo mi będzie znaleźć klejnot odpowiedni dla ciebie.

- Przestań mnie zagadywać. Myślisz, że nie zauważyłam, gdzie wkładasz ręce? Chcesz sobie napytać biedy?

- Staram się, jak mogę. I mam zamiar to robić do końca życia. Kocham cię. I przysięgam, że nigdy nie będziesz musiała żałować, że mnie pokochałaś.

Ja również w to nie wątpię, pomyślała Kirstin. Podejrzewała, co prawda, że Zach jeszcze niezupełnie uwierzył w siebie, ale za to ona wierzyła w niego. Jest najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznała, tyle że będzie musiała często mu to powtarzać. A na razie trzeba go ogrzać. Powoli zaczęła rozpinać jego kurtkę.

W lesie było chłodno, ale znowu nie tak zimno. Ogrzeje go. Dzisiaj, jutro i przez całe życie.